



ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ :: :: ::

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17. :: :: ::

Przedstawicielstwo redakcji na AUSTRO-WĘGRY: JAKÓB GESZWIND, WIEN, (Hauptstr. 147).

Prenumerata roczna (na pocztę) — 40 marek, półroczna — 25 marek, kwartalna — 14 marek.

Zeszyt pojedynczy 3 marki. — Przesyłka pod opaską 15 fen. za zeszyt.

Prenumerata na Austro-Węgry roczna 64 korony — półroczna 32 korony — kwartalna 17 koron.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-jej do 7-jej.

OD REDAKCJI: **Rękopisy** zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu nadsyła się bez czytania. — — — **Redakcja** nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych oren tychże.

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, pl. Wilhelm. 17

Telefon 5100

Opisując prasę najnowsze wydawnictwo nasze p. t.

W przededniu nowych zadań

zbiór studiów o polskich zagadnieniach gospodarczych.

Zawiera prace następujące:

T. Adamczewski — Przyszły Bank biletowy w Polsce

Dr. St. Pernaczyński — O emisji not ziemskich

Dr. Z. Karpjański — Rola złota w polityce walutowej przyszłego Banku Polskiego

Dr. E. Rose — Król. Polskie a Galicja — Drogi zbliżenia gospodarczego

Stefan Haupa — Polityka komunalna w Królestwie Polskiem

Konstanty Zachert — Zagadnienia polityki drzewnej w Król. Polskiem

Dr. St. Wachowiak — Wychodźstwo wstafalako - nadreńskie a reemigracja

Paweł Spandowski — Pod adresem przyszłego prawa polskiego o warunkach akcyjnych

Dr. Marjan Głowacki — Przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe na ziemiach polskich i znaczenie ich dla gospodarstwa narodowego

Stanisław Marciniak — Wpływ wojny na finansowe położenie rolnictwa w Wielkiem Ks. Poznańskiem.

Cena mk. 10.—



złatwia z członkami wszelkie interesy bankierkie.
Polityczni na przystępnych i dogodnych warunkach.
Papiery wartościowe jako pewna i korzystna lokacja kapitałów.
Rachunki oszczędnościowe z wielkiem dogodnościami dla wplatu i wypłatu.
Udzielny członków przynosiły 6 procent dywidendy.
Wieloletni i oszczędności oprocentowuje od dnia złożenia pieniędzy po 3, 4 i 4 1/2 procent.

ADRES:

BANK LUDOWY, Wrocław (Hobanalska).

ZDRÓJ

ROK 2 LIPIEC 1918
TOM IV ZESZYT 2

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE
I KULTURZE UMYŚLOWEJ :: :: ::

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: OSTOJA — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Poeta a świat — Sri Ananda Acharya (tłom. S. S., przyozdobił J. Hulewicz). Z „Króla Ducha” — Juliusz Słowacki. Ekspresjonizm, Słowacki i „Genezis z Ducha” — Stanisław Przybyszewski. Exodus — Emil Zegadłowicz (przyozdobił J. Hulewicz). Wtórć arnheimaka — Edgar Allan Poe (tłom. St. Wyrzykowski). Z „Golgoty serca i ducha” — Aabein. Na marginesie Don Kiszota — Michal Sobeaki. Poezje — Antoni Puchala. Taras Szewczenko i Polacy — Fr. Rawita-Gawroński. O muzyce wieraza — Juliusz Tenner. Miscellanea.

RYCINY: Akt (rysunek) — August Zamoyski. Rysunek — Jerzy Hulewicz. Drzeworyt oryginalny — J. Hulewicz. Rysunek I. i II. — Tytus Czyżewski. Rysunek — Tymon Niesiolowski.

POETA A ŚWIAT

(Dla „Zdroju” w odpowiedzi na list otwarty do Wiktora Gomulickiego)



PRAWA PERĆ

Nad „niebieskimi księgami” Wojny zła i dobra przesłęczało swe żywoty wielu mędrców Wschodu. Żadnemu z nich nie było tajno, że obaj zapaśnicy synami są jednego Ojca. Wyrodek i pierworodny, obaj posiwiali w odwiecznym — choć nie wiecznym — boju, obaj dobywający sił ostatka, rwą się za pas od wieków, nie tracąc nadziei zwycięstwa od wieków.

Człowiek umie ich rozróżnić równie łatwo i zwyczajnie, jak łatwo i zwyczajnie rozróżnia dzień od nocy i światłość od ciemności, — pomaga jednak złu i korzy się przed niem, gdyż czują skądinąd

świadomość dobra usypia w sobie djabelskim chlorkiem złudzenia, iż zło należy zwalczać jego własnym orężem.

Lao-Ce uczył (i czy on tylko?), iż człowiek może pokonać zło, na ciosy jego odpowiadając ciosami dobra. Nato, aby oślepić Ohydę, nie wystarczy — jak radziła średniowieczna europejska legenda o bazyliżku — zacząć się na nią w lochu z blaszanym zwierciadłem: nie! musimy rozbić przed nią szkatuły swoich serc i razić w nią klejnotami jego piękności. Stąd dla poetów nauka. Gattwa (dobroć kosmiczna) jest jedyną harfą duszy, z której dano jej dobywać pieśń wieczności.

Jest jedno piękne w Aweście podanie: Zarathustra umarł, lecz nasienie jego zostało utajone w wodach jeziora Kansu, strzeżonego przez 99.999 Frawaszów od napaści demonów. Raz jeden na tysiąc lat schodzi w fale jeziora przeczysta dziewica, przyjmuje podczas kąpieli święte nasienie i poczyną zeń nowego proroka. Pierwszy zwan jest Ukhszyat Ereta — Latorośl Zwycięstwa — a na znak i świadectwo słońce stanie, jak wryte, na niebie i świecić będzie nieustannie przez dziesięć dni i nocy. Dusza człowieka jest jeziorem z zatopionem gdzieś na dnie i uspionem głęboko nasieniem wiecznej dobroci. Zgraje szatanów — hurmy namiętności — burzą jego głębie, szukając chciwie tej bezcennej, utajonej w nich perły. Błogosławiona dusza, w którą zstępuje prawda — niepokalana Dziewica. Słońce Piękności przystaje nad ziemią na dziesięć wieków, zasłuchane w pieśń genjusza.

Bóg uświadamia się w człowieku, jako jedynym swoim substracie. Sam przeto Ahura Mazda tęskni za Ukhszyat Eretą. A gdy dusza człowieka oddaje pokłon Angra Mainyn, zmartwychpowstaje z pobojowiska jego piekielna Armja i spadając jak nawałnica na ziemię, maści wszystkie śmiertelne żywioły i murem z czarnych puklerzy pokrywa całe niebo wraz z nieśmiertelnym słońcem. Piekło jest bowiem rzuceniem ślepoty na ducha, jak niebo oczyszczeniem jego wzroku. Walczmy więc bodaj w ciemnościach, według sufijskiej zasady Dzihad (zapaśnictwa duchowego), czyli nie dajmy się spychać z prawej Perci, jedynej szosy niebieskiej, którą przebiegają z tętentem orszaki aniołów, spieszących z odsieczą na odgłos szczęku, jaki wydaje oręż, kuty z czystej stali serca i hartowany u źródła Prawdy.

Posłuchajcie jeszcze Czhândogji Upaniszady (IV, 4):

„Rzekł Satyakāma (a po waszemu Prawdomił) do Dżabāli, matki swojej: „W żaki mi prawie czas, matko najmiłsza. Powiedz mi przeto, z któregoś rodu (a tuszę, iżem z braminów, ile że mię inaczej ominie duchowa karjera)?“ Odpowie matka jego, mówiąc: „Zaprawdę, nie wiem ci ja tego, mój najmilejszy. Byłam wszeteczna w młodości mojej, gdym cię, synu, porodziła. Imię moje wszelako Dżabālā, twoje zaś Prawdomił. Mień się tedy Prawdomił, syn Dżabāli.“ I przyszedłszy Prawdomił przed Gautamę, syna Haridrumatów, rzecze do niego: „Mistrzu łaskawy, radbym zostać żakiem przy tobie“. Zapyta go tedy mistrz, mówiąc: „Jakoć imię, a którzy są rodzice twój?“ Rzecze Prawdomił: „Wiedz zaiste tę rzecz, iż pytałem się był matki mojej, która odpowiedziawszy mi, rzekła: Byłam wszeteczna w młodości mojej, kiedym cię, synu, porodziła. Imię moje wszelako Dżabālā, twoje zaś Prawdomił. — Jestem tedy Prawdomił, syn Dżabāli.“ I rzekł mu nauczyciel: „Byś nie był braminów, nie mówiłbyś tak prawdziwie. Idź a przynieś łuczycwo twoje“.)

) Wiązka drewek, którą składało się w Indjach, przestępując nauczycielskie progi. Mający ją strawić czysty ogień ofiarny był symbolem pierwszego wtajemniczenia, polano zaś zastępowało czesne. Należało więc może tłuścawowi, oszczędzając przypisku, wyrazić się poprostu i zrozumiale na dzisiaj: dobywaj kiesy z zanadza.

Brahma, on źródło nieprzebrany twórczości i natchnień rozdawca, pyta także duszę, co doń po natchnieniu przychodzi. A jeśli ta umie zdobyć się na prawdę, na swoją, najgłębszą prawdę, — przyjmuje ją wówczas na naukę wiekiuistych swoich tajemnic, rzekąc jej miłościwie: Tusz sobie dobrze. Idź już a przynieś łuczywo swoje.

Indyjski jogi śle pozdrowienie poetom polskim.

W górach Norwegji, Czerwiec 1918.

ŚRI ANANDA ACHARYA.

(Spolszczył S. S.)



Z „KRÓLA DUCHA“

Myśl — duch, który tu wieczną walkę zwodzi
 Bez czasu będąc — z Czasem, ciała synem...
 Myśl — szelest żagli u płynącej łodzi —
 Myśl — ogień, serca karmiony bursztynem...
 Myśl — wola, miłość, która się w nas rodzi,
 Gdy wyniesieni mamy być nad gminem,
 Wielka i boskie spełniająca rzeczy,
 Chociaż krew nie chce — chociaż ciało przeczy...

JULJUSZ SŁOWACKI.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

EKSPRESJONIZM — SŁOWACKI
I „GENEZIS Z DUCHA“

II. POWSTANIE „GENEZIS“.

Jasno zdawał sobie sprawę Słowacki, jaki los oczekuje jego „alfę i omegę świata, z pism najważniejsze, jakie kiedykolwiek napisał“: „Genezis z Ducha“, dla tego mimo zapowiedzi, iż „drukuję to dziełko — mówi w Raptularzu — nie dla sławy, ani dla zaspokojenia miłości własnej — bo ta możeby zyskała, gdybym w tajemnicy zachowując źródło idei, został przy poetycznej formie“ — ostatecznie „Genezis“ za życia nie wydrukował. Nie mylił się, że te „wyznania w wieku dzisiejszym ujmą mu cześć w obliczu świata, który chętnie one te rzeczy szalbierstwu, albo chorobie zwykły przypisywać — sądząc, że ujmują powagi rozumowi“.

A przecież, według o świętej pokorze geniusza świadczących zeznań Słowackiego w „Raptularzu“: „dzieło to jest owocem dwuletniego stanu nadzwyczajnej egzaltacji — i myśli, ciągle przez ów czas zwróconej ku Bogu i ku źródłom wiedzy... Napisane jednym ciągiem pióra — i jednym tchnieniem modlącego się ducha — ale rozważane głęboko — a często dyktowane wyraźnie przez samą światła i form widzialność“...

Długo musiał jednak Słowacki czekać, zaczem ta jego objawiona prawda „będzie karmiła przez tysiąc lat spragnione wiedzy prawdziwej narody“ — wiedział o tem, gdy pisał, że choć dziś „biedną szatą okryta... i wstydyć się sługi, który ją do kraju prowadzi — kiedyś tron zasiąść przeznaczona — w progach narodowych pałaców usiadzie czekając — ażali kto wielki — przechodząc blisko, nie pozna z oblicza — że królewską jest córką — i z Boskiego rodu idącą“... I wierzył niezłomnie, że kiedyś naród pozna iż ta „Genezis“, zawierająca Alfę i Omegę świata, „na te biedne łachmany, którymi ją dziś dla niedostatku swego ludzie okryli, nie zasłużyła“, że kiedyś — „prawda siebie sama broniąca i pamięć późną pisarza obroni“... — i przewidywał tę chwilę, w której jego moc i pieśń, „która serce przeobraża i niewolnika przedzierzga w człowieka“ zrozumiała się stanie w Polsce — nawet dla żniwiarzy, którzy pod jej tchnieniem — przy kopicy stana, jak dawniej rzymscy niewolnicy, amętni i groźni“.

Nie pomylił się: znalazł się, jeżeli już nie „on wielki“, to w każdym razie zbożny czciciel i żniwiarz, który stanął przy swej kopicy — a jest Ci on profesorem agronomii w Dublinach — który „przechodząc blisko, poznał z oblicza, iż „Genezis z Ducha“ jest

królewską córką — i z Boskiego rodu idącą“... smętny, że nikt przed nim na piękności tej córy królewskiej tak dalece się nie poznał, by mózdz jej sławę na cały świat głosić, i groźny wobec tego motłochu, który przez tyle lat dziesiątek śmiał jej piękności uwłaczać: Jan Gwałbert Pawlikowski.

Dostojny zaiste przewodnik tych paru żniwiarzy, którzy w kornem zdumieniu stanęli przy kopicy, by nadsłuchiwać pozagrobowym tchnieniom świętego Wieszcza.

Dzieło Pawlikowskiego jest istotnie tym wielkim czynem, która „późną pamięć pisarza“ nie tylko, że obroniła ale jej w jak najchwalebniejszym świetle rozblysnąć kazala.

Siedemdziesiąt lat musiał Słowacki czekać po swej śmierci, zaczem się tego jedynego i to najdostojniejszego pomnika doczekał.

Szczęśliwy Słowacki! Tak jeszcze żaden z tak zwanych krytyków polskich nie zdołał wnikać, wgłębić się, wzeczeń z najgłębszym umiłowaniem i najubożniejszą czcią w twór artysty, jak to uczynił Pawlikowski w swojej epokowej książce: „Studjów nad królem Duchem“ część pierwsza: Mistyka Słowackiego“.)

Ktokolwiek zapragnie się zapoznać, nie tylko zapoznać, ale żyć się jak najgoręcej z tym najszczytniejszym utworem wielkiego geniusza — tego istotnie „altissimo poeta“, będzie musiał wchłonąć w siebie — i to z prawdziwą rozkoszą — książkę Pawlikowskiego: „skromną upłatę“, jak autor w swej skromnej przedmowie pisze, „długu zaciągniętego wobec ducha poety, którego wielkiemu dziełu zawdzięcza tyle niezapomnianych wzruszeń“.

I szczęśliwie się złożyło, że krótko przedtem ukazało się po niefortunnych i bałamutnych wydaniach „Genezis“, raz wreszcie tak doskonale wydanie, jakiego nigdy jeszcze przedtem żaden utwór jakiegokolwiek pisarza polskiego się nie doczekał, a którego dokonał Wincenty Lutosławski¹⁾, a nikt może więcej do tej ściślej i niesłychanie sumiennej pracy filologiczno-krytycznej nie był więcej w Polsce powołanym, nad twórcę słynnej w Europie metody stylometrycznej, tak skutecznie na dialogach Platona wypróbowanej.

Te dwie przesłanki: komentarz Pawlikowskiego i edycję „Genezis“, dokonaną przez Lutosławskiego, winien mieć czytelnik tego surowego zaledwie zarysu nauki Słowackiego przed oczyma, abym z jednej strony nie został posądzony, o przypisywanie sobie

¹⁾ Jan Gwałbert Pawlikowski. Studjów nad Królem-Duchem część pierwsza: Mistyka Słowackiego. Nakładem księgarńi H. Altenberga we Lwowie. 1909.

²⁾ Genezis z Ducha. Nakładem Anczyca w Krakowie. 1903.

zasługi, która się Pawlikowskiemu należy, a z drugiej strony nie był posądzony o dowolne przekręcanie tekstu odpowiednio do z góry podjętych zamysłów, by tekst dostosować do mego osobistego „wizjonu” w tłumaczeniu tej nauki.

W przedmowie do swego wydania pisze Lutosławski, że do zrozumienia „Genezis” poza znajomością „króla Ducha” — w czym się myli, bo znajomość „króla Ducha” można tylko przez znajomość nauki w „Genezis” wyrażonej osiągnąć i po za wprawą badań filologicznych, które już czytelnika nie dotyczą, potrzeba nadto następujących warunków:

1) doskonałą znajomości całej historii filozofii, a w szczególności kierunku mistycznego, od Plotyna począwszy, przez Dionizjusza Areopagite, Boehme, St. Martina, sięgający do Mickiewicza i naszego polskiego mesjanizmu wogóle.

2) doświadczenie wewnętrzne psychiczne, objawiające wyższe władze intuicji ducha — (według mnie zasadniczy warunek, któryby sam już wystarczył dla zrozumienia „Genezis”).

3) znajomość nauk przyrodniczych, umożliwiających naukową ocenę owej teorii pochodzenia gatunków, stworzonej przez Słowackiego przed Darwinem.

Ten warunek jest istotnie tak ważnym, że bez znajomości chociażby najprymitywniejszych zasad biologii i nauk przyrodniczych, zrozumienie „Genezis” Słowackiego jest całkiem niemożliwe, dla tego całą drugą część niniejszej pracy poświęcam współczesnym filozoficznym teorjom nauk przyrodniczych, bo w nauce głoszonej w Genezis objawia się Słowacki w zdumiewającej syntezie umysłowej nie tylko jako poeta, jako filozof, ale równocześnie jako przyrodnik, który wedle słów Lutosławskiego, i to niezmiernie słusznych: „mógłby, gdyby chciał, użyć metody Darwina, lecz Darwin wiele nie umiałby posługiwać się metodą Słowackiego”...

„Darwin widzi, słyszy, spostrzega zmysłami. Słowacki zamyka oczy i uszy, a w duchu swym rozmyśla o przedmiocie, który zwrócił jego uwagę”.

To znaczy, że Słowacki widzi i słyszy „nagą duszę”, której Lutosławski tak nienawidzi.

O jednej tylko rzeczy zapomniał Lutosławski — o warunku czwartym, to znaczy, że, aby mózdz zrozumieć doszczętnie „Genezis”, trzeba dokładnie poznać cały szereg pism, które stanowią dopiero całokształt mistycznej nauki Słowackiego. Jedyna „Genezis” z wszystkich tych pism jest całkiem skończona i w sobie zwarta, wszystkie inne purywane, cudowne fragmenta, ale nieuporządkowane, odrzucił wspaniałych pomysłów, których już ostatecznie wypracował Słowacki [nie zdołał. „Genezis” z Ducha jest jedynym tworem objawienia, treść tego poematu

została mu podszeptaną” — wszystkie inne pisma są poświęcone wykładowi nauki — w pierwszym zdzie „List do Rembowskiego” jako całkiem już refleksyjne uzupełnienie „Genezis”, „Raptularz”, który Pawlikowski słusznie uważa za zapiski „mające wejść niewątpliwie w przedmowę do „Genezis”, gdyby była wydrukowaną, „Pierwsza rozmowa z Helionem”, zawierająca wybudowanie i wytłomaczenie początku (alfy świata) następnie „druga rozmowa z Helionem” dotychczas zwana pierwszą częścią „wykładu Nauki” „Rozmowa z Helionem” i „Helois” („tłumaczenie terażniejszości przez przeszłość i przez finalne cele ducha”) i wreszcie dramat „Samuel Zborowski”, gdzie w dialogu, prowadzonym przez lucyfera spotykamy się z powtórzeniem obrazów z „Genezis”.

Wszystkie te pisma są niejako komentarzami do „Genezis” najlepszy dowód, jaką olbrzymią wagę Słowacki swej „Modlitwie” przypisywał, jeżeli tak gorąco pragnął, by została zrozumiana i taki ogrom pracy w to pragnienie włożył, ale i te komentarze Słowackiego wymagają znowu osobnych komentarzy. — Słowackiego, zapalonego przez piękność idei, porywa i spala taki płomień ekstazy natchnienia, że tłumaczenie jego i komentarze gubią się w tęczy obłokach nowo wynionych, z Ducha jego wewnętrzną gorączką trawionego, nowo wysnułych światów i nieb i bezkreśnych przestrzeni...

Pierwszy warunek, stawiany przez Lutosławskiego nie wygląda tak groźnie, jakby się wydawało. Bo tej „doskonałej znajomości filozofii” sam Słowacki nie posiadał, ani posiadać nie mógł — nigdzie się zresztą z tą swoją doskonałą filozoficzną wiedzą nie zdradza.

Znał zapewne historję filozofii Neo-Platończyków, Plotyna, Porphyriusa, Jamblichusa, wgłębiał się w Philona „żydowin”, od którego przejął jak najwyraźniej pojęcie „Słowa” i Dionizjusza Pseudo-Areopagita, bo pisma tego przez Św. Pawła ponoć na wiarę chrześcijańską nawróconego poganina powstały co najrychlej w końcu piątego stulecia po Chrystusie, od którego zaczerpnął pojęcie Bóstwa, znał zapewne Gnozę, a przedewszystkiem twórcę chrześcijańskiej Gnozy — Bazilidesa, nie obcym był mu mistyk Boehme, a poznał go bezwątpienia z prelekcji Mickiewicza, który Boehme po francuzku tłumaczył, niechybnie znał teorię Leibniza o „monadach”, znał bezwątpienia St. Martina, z którego nauki zresztą bardzo mało śladów u Słowackiego znajdziesz — ale o jakiejś systematycznej wiedzy filozoficznej nawet mowy u Słowackiego być nie może.

Czerpał z wszystkich źródeł, jak każdy istotny artysta, wchłaniał w siebie to, co się naokoło zasnudniczej osi jego psychicznego bytu bez trudności

nawijało, a odrzucał wszystko, co mu było niepo-
trzebne.

Słowacki odlewał swój dzwon.

A wiecie, jak w średniowieczu dzwon odlewano?

Przyrządzano rozczyń metalów w jakimś ogrom-
nym kotle. Przychodził ksiądz w uroczystej procesji,
poświęcał go i błogosławił mu. A potem szedł cały
pochód ludzi wszystkich stanów i wszystkiego wieku,
a każdy dorzucał do tego waru, co miał najkosztow-
niejszego; najcenniejsze pierścienie i łańcuchy złote
i w najnowsze klejnoty bogate naszyjniki z amety-
stów, szafirów i rubinów, zausznicze z topazów, szma-
ragdów i opali, z wspaniałym gestem rzucono grad
djamentów i pereł, kosztowne sprzączki i drogie
djamentowe spinki — rycerstwo, książęta i księżniczki,
patrycjusze i panie burmistrzynie współubiegali się
swą ofiarnością o to, by metal wyszlachetniał, aby
serce dzwonu, które o niego uderzy, mogło przena-
jącej miłością z płaszcza dzwonu wywołać naj-
czystsze, najdzwięczniejsze technienie...

Ale Słowacki był tym, który przygotował ten
pierwszy rozczyń metalów; on śpić mógł się stać
bogatszym, wspanialszym ten aliaz kosztownego kru-
szcu przez hojność i ofiarność korowodów mędrców,
którzy się przed jego oczyma przesunęli, ale nie
byłoby dzwonu.

Ale jeszcze święty odlewacz nie uczył tego
drżenia, tego świętego dreszczu, który przenika twór-
cę w chwili, gdy ma mu się objawić kształt jego tworu —
łękał się rozbić formę, pod którą kształt ten się ukrywał.

I wreszcie nadeszła ta chwila, ta przeobrzy-
mia — przenajświętsza chwila, o którą się Słowacki
w „Kordjanie” modli.

...Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli jaką wielką myśl zapali...
Boże zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj!
Jedną myśl wielką roznieć, niechaj pali żarem,
A stanę się tej myśli narzędziem, zegarem;
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,
Rozdzwonię wyrazami i dokończę życiem!...

Ten rozpaczliwy „jaskółczy niepokój” przed
ciężką burzą bezustannie nawiedzał duszę Słowac-
kiego, tak jak nią motał duszę Mojżesza, zaczęła
się Bóg w krzaku ogniatym nie okazał, — nachodziły
nań chwile — tu sam się powołuje na Mojżesza, gdy
„drżał jak Mojżesz, kiedy mu Jehowah rękę był
swoją pokazał ze skały”, a razem z giermkim Po-
pila czuł jak

Głosy okropne w niego wlatywały
Kości roztrzęsły — pierś mu się popęsała
Chodził i przez sen gadał i drżał cały,
Jak instrumentu cedrowa szkatuła,
Którą muzykant napelniał przelotem
Tonów — i zamknął napelnioną gromem!...

I burza się straszna zerwała i straszny huk
grzmotów i ogłuszał „jaskółczym niepokojem” napel-
nioną duszę twórcy: ujrzał „kopułę niby niebios całych
ogniami napelnioną” i wtedy może poraz pierw-
szy ujrzał Boga, „którego nikt nie widział” ponoć,
według skrzętnych badaczy w lecie 1844 roku
w Pornic¹⁾.

Tu się dokonał ten wielki Cud, w którym się
Słowackiemu objawiła „Alfa i Omega Świata”:

„Na skalach Oceanowych postawiłeś mię Boże,
abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego,
a jam się nagle uczył w przeszłości Nieśmiertelnym,
Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych,
którzy Ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońce
i gwiazd girlandach”...

I tu nawiedził go Duch łaski swoją bezmierną
światłością, w której odsłonił mu się początek świata
i jego „finale” końce.

Tu, gdzie za plecami moimi palą się złota
i srebra skały, nabijane mikowcem, niby tarcze olbrzy-
mie, przysnione tarczom Homera, tu, gdzie odstrze-
one słońce oblewa mi płomieniami ramiona, a w szu-
mie morza słychać ciągle głos pracującego na formę
chaosu, tu gdzie duchy tą samą co ja niegdyś drogą
wstępują na Jakubową drabinę żywota; nad temi
falami na które duch mój tyle razy puszczał się
w nieświadome horyzonty, nowych światów szuka-
jąc: pozwól mi Boże, że jako dzieciętko wyjąkam
dawną pracę żywota i wyczytam ją z form które są
napisami mojej przeszłości”.

I poraz trzeci zwraca się do tego miejsca, w któ-
rem objawienie się dokonało, gdy zwraca się błagalną
prośbą do Oceanu, nad którym go „Bóg postawił”.

„Stary Oceanie powiedz mi jako w łonie twoim
odbywały się pierwsze tajemnice organizmu? pierwsze

¹⁾ Pornic, (czytaj: Pornik) małe miasteczko w Francji
(departament Loire-Inférieure, tuż obok departamentu Vendée)
położona nad zatoką Bourgneuf Atlantyku, przy ujściu Perche,
jest jedno z najpiękniejszych miejsc kąpielowych Francji. Prze-
dzielnie położone, zbudowane na wzgórzach amfiteatralnie daje
cudowny widok na Atlantyki, w wiekuiastej pracy rozbijający się
o nadbrzeżne skały. Na najwyższym wzgórzu wznosi się zamek-
forteca, który ongi był własnością słynnego Gilles de Reta
(Gilles de Raia), znanego z potwornego procesu o satanizm.
Gilles de Retz, towarzysz Joanny d'Arc, marszałek Francji, po-
święcił szatanowi około pięciuset dzieci w najstraszliwszych
torturach. Kto ciekaw bliższych szczegółów, niech zajrzy do
książki Huysmansa: *La-bas*. Słowacki wiedział pewno o tem
od Michelet'a, który pierwszy odkrył akta tego niesłychanego
w dziejach Francji procesu w — Brunszwiku.

I tu w Pornic zostało podczas wielkiej rewolucji francuz-
kiej wymordowanych trzystu Wendejczyków, którzy tudotąd
z masakrowanej przez Jakobinów Wendei zbiegli — a jak wia-
domo, stawała Vendée rewolucji francuzkiej najzacieklejszy
i najrozpaczniejszy opór. Może Słowacki miał to na myśli, gdy
w *Genezie*, w Pornic stworzonej, błogosławi „Kaimostwo”, które
ludzkotć na wyższy szczebel rozwoju wstępować zmusza.

rozwiniecia się kwiatów nerwowych w których duch rozkwitał?”

Bo przecież od tej chwili — tak! — odkąd go Bóg postawił na skałach oceanowych:

„Odtąd słyszę Panie, świat napelniony jękiem rodzącej się natury, słyszę Lamantyny¹⁾ na urwiskach skał nadmorskich, że wołają w mglistem powietrzu o zlitowanie się Twoje“.

Boć „ta kopia, niby niebios całych ogniami napelniona“, oberwała się nad nim białem światłem słonecznym i zalała go tą ciszą, w której „tęcza już jest grzechem“, światłem, w którym się wprowadzie wszystkie kolory mieszczą, ale nie ujawniają się, światłem nie rozszczępionem, a więc świętą syntezą, otwarzającym najpodnioslejszy stan duszy: wiekustej Ciszy, akord świętego Tonu, „mocy Chrystusowej natury“ początku Ewangelji Jana.

I w tej ciszy ośmielił się Słowacki odezwać do Boga:

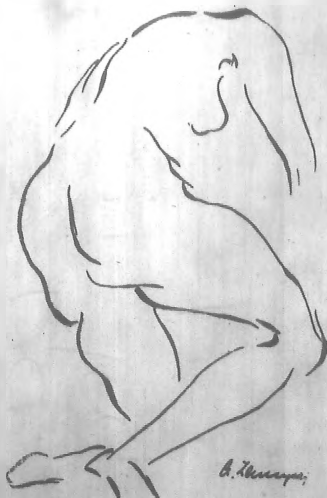
¹⁾ Lamantyna należy do rządu zool. syren. Pierwszy opisał ją Humboldt, a jak Pawlikowski słusznie przypuszcza, podzielało na Słowackiego suggestyjnje nazwisko lamantyny, z cichym głosem, który z siebie wydobywa podobnym do jęku (lamentu.)

„Pozwólże Panie, że ja, duch, opiekę
Strazliwą pracę — i boleśną drogę,
I swoje dawno wiekuste dzieje
opowiem“...

„Opowiem“, pisze w „Teogonji“, pokorniej wyraża się w „Genezis“, że jako dzieciątko „wyjąkam pracę żywota“ i zaiste przenieświetszem ją kaniem jest ta potężna „modlitwa“, jak Słowacki swoją Genezis nazywa, boć przecież:

„Ty, wiesz o! Boże, zem nie przedsięwziął opisywać tworów natury; będzie to albowiem zadaniem wieków rozwiązać jakimi drogami szedł duch twórczy? jakie składał Tobie ofiary? co brał? co tracił? a co znowu napowrót odzyskiwał. Łańcuch ten na teraz tajemnicą jest; i przeraziłby się duch ludzki gdybyś mu odrazu Panie pokazał te wszystkie dzieje jego. Musiałbyś go za rękę trzymać jak dziecko, otworzywszy mu nagle pod nogami taką przepaść wiedzy i olśniwszy mu oczy takimi błyskawicami prawdy Twojej. Ja błędny i zamyślony o Tobie, zaledwo w kilku poczuciach prawdy rozweseliłem się, przeglądając twory naokoło mnie będące; często liść trawy albo ptaszynę która na płocie świegotęła“...

(C. D. N.)



Art (rysunek) — August Zamoysh.

EXODUS



to tęcza przymierza —

Oto MY —

Siedmiobarwna widzialna arkada Ziemi — pod którą modlimy się spolem —

Poza granicą barw — poczyna się kraina kolorów, w których duch chadza —

bezbieżna —

Samotności i tęsknoty kraina —

W niewidzialnych sferach — tam:

JAWA.

Tu?

— Czyż nie jesteśmy tęczą z rozżarzonej bieli Ogniska przerzuconą — niby zwodzony most — poprzez przerażające bezdna, skroś lądy i morza, rośliny i zwierzęta, księżycy i słońca — —?

WYZWOLENIE. Zerwane okowy z brzękiem zapadły się w otchłań —

Połknęła je łakoma gardziel przepaści; fosforycznie załśnił na dnie magiczny kłęb; zakotłował się wir; wytrysły iglice skał; oderwały się od oślizgłych ścian nietoperze przyczajone; czarne ich błony przświecają siatką żył — —

Od zaśniedziałych podłoży wznosi się purpurowa fala —

zalew z chlupotem przelewa się, kłębi, huczy — —

chlonie i zalewa sobą wszystko purpurowa fala, purpurowa fala —

Wnękliwy zapach siarki unosi się nad wodami —

Z głuchym rechotem uderza fala o brzegi skaliste —

Krwawą pianą pomiata, cofa się z gniewnym powarkiem — znów wraca —

Szklista, lśniąca powierzchnia kraje się w ścięgni niesamowite, podnosi się i opada — jakoby oddychała pierś niezwierzęca już, już nieczłowiecza — —

wypracowuje się głębia i znaczy swe przemiany Ruchem —

Ścięgni-linje: ni to koła, ni krzyże, ni symbole słońc czy gwiazd —

CHAOS.

— Podemną ginie niewola —

— podemną przepada lęk —

— Nademną konają księżycy —

— nademną rodzą się słońca —

PRZEMIANA PIERWSZA. Za miastem działo się to, za miastem —
Słuchajcie!

Za miastem, w którym wybudowałem w mozołach lat minionych: TUM.

Z poza murów i rowów, z poza błoni — z daleka — powracam —

Otoć przychodzę WOLNY —

— dokonem wyzwolony —

— zbyty pragnień —

Jeno skrwawione przeguby rąk świadczą o wadze kajdan, o niewoli, o WIEZIENIU.

Rynek; okol domów o zamkniętych oknach; lśni niemile szkło szyb; poza którąś blada twarz zastygła; tłum; nienawistny, warkliwy, zrodzony z pyłu bruków i gościńców wiodących z miejsca do miejsca —

Chód mój lekki jest i śpiewny; krok dostojnym rytmem dźwięczy —

Zdążam przed wrota TUMU.

Schody; portal gotyckiej struktury; niebotyczny, zastygły akord wysmukłych wież.

Brama kuta.

Płaskorzeźby: Uzdrawienie ślepego —

Zmartwychwstanie —

ujęte w girlandy ze żralych owoców; jabłka, grusze, brzoakwinie.

Przedemną brama zaparta.

Za mną czai się ukryte, jadowite:

— Otworzy? —

(ECHO: wróć! wróć!)

— Napróżno, napróżno mnie wzywasz —

— Krąg mój saturnowy otacza cię Ziemi Ojczyzno — i snąc krąży wraz z tobą —

— Widziałem w ponurych snach ten obraz:

— Ziemi daleki,

— z Ziemią spojony.

— Lecz tam w niedostrzegalnym (jeszcze), w ostatecznym ognisku — w Żarze wiecznym dokonywa się zamierzony, odroczone (jeno) WSTRZAŚ.

— Wylania się najodleglejsza Moc — Konieczna.

— Napróżno wzywasz mnie — napróżno — — łudzisz, namawiasz, przekonujesz —

(— pozaświadomie czyta wzrok
treść słów: FIAT LUX

— napis nad bramą —)

Stało się!

Zakłęcie: Rozbrat!

(SPOWIEDŹ: nazbyt, nazbyt wiele wchłaniałem trujących oparów — ongi nad przepaścią z której dna podnoszą się purpurowe fale, purpurowe fale

Fosforycznych rozbłysków przejąłem zbyt wiele —

Zachłysnąłem się pyłem dróg wiodących do Nigdzie —

Czujące dłonie pieściły RZECZY).

PRZEMIANA WTÓRA. Przed wrotami tumu działo się to, przed wrotami.

Słuchajcie!

Krwią nakreślony znak runiczny —

(symbol słońca, ruchu, życia —

Klucz Świętyń —) otworzył bramy.

Z łoskotem uderzyły o ściany.

Przedsionek.

Tętni samotny krok — łamie się w tysiące pogłosów, huczy pod sklepieniem, stacza się ze ścian, owija się koło kolumn —

Zadrgało wewnątrz —

Zachodzącego słońca promień rozżagwił nadportalny okna krąg i przerzucił złotą smugę poprzez nawę do ołtarza świętych stóp.

Sacro sanctum!

Hosanna! Hosanna!

Cisza! Cisza! Cisza!

Nietętni krok mój.

Nie oddźwięka posadzka!

Nie drżą sklepienia!

Hosanna! Hosanna!

Z promieni utkane ciało me —!

Z promieni, światła i łnień —!

Hosanna! Hosanna!

Rozmodliło się we mnie Istnienie, skupiło i rozproszyło zarazem.

Bieg! Lot! Wznoszenie się! Wnikanie! Przenikanie!

EKSTAZA!!

Myśl czujna, świadoma —

Bezbolesne konanie —

Śmierć — Życie —

Byt, Jażń: ŚWIĄTYNIA.

Witraże moich okien — me oczy —

— patrzą w swój Dzień, w swą noc —

Sklepienia mych naw — me uszy —

— słuchają hymnów przemijań i przemian w takt stwierdzeń
i zaprzeczeń: tak, nie, tak, nie, (— dźwięk — gest wahadła
Wiecznego Zegar —)

Struktura mego domu — mój dotyk —

— wyczuwa drżenia stawiania się wszelkiego bytu.

JA — DOM BOŻY — ŚWIADOMOŚĆ.

WIEM: Tam w niedostrzegalnym (jeszcze, jeszcze) Ognisku, w Żarze wiecznym, dokonywa się zamierzony, odroczone (jeno) Wstrząs — —

GLOSSY O PRZEMIANIE TRZECIEJ.

I stało się dnia któregoś, o zarannej godzinie się stało —

Słuchajcie!

— iż DOM BOŻY

(cisza i majestat)

wyrwany gwałtownym wybuchem z fundamentów (— zadrzał przedzgonnie akord wież) — rozpadł się — runął na pograniczu Nocy i Dnia.

Święty Dom Pokoju, przybytek oczekiwania.

W czas swego trwania

— niejednokrotnie zasępiły się jego oczy-witraże i zaszyły łzami jesiennych dżdzy—

— niejednokrotnie zasnuły się jego uszy-sklepienia i zaplątały swą bystrość
w wiecznych nalotów arabeski —

niejednokrotnie wiotczała czujna moc dotyku-struktury — przemianom (jak
wszystko) podana.

Rozpadł się w gruz, runął DOM BOŻY — na pograniczu Nocy i Dnia —

I oto stało się, iż wszystko co Duchem było — jawne i wyzwolone —
przesunęło się z FORMY W PRZESTRZEŃ.

Wzrok błękitem przezroczym otoczył ziemię.

Słuch zatopił się w muzykę sfer, w kantaty krążeń, w symfonie rodzących się i ginących światów.

Czujny dotyk zaczął przesuwać różaniec gwiazd.

Nie wzrok to już —

Nie słuch —

Nie dotyk

to — BARWA —

to — MELODJA —

to — MODLITWA —

— PRZESTRZEŃ I WIECZNOŚĆ —

Ostateczny krąg

w którym są wszystkie kręgi

a on jest w nich.

EDGAR ALLAN POE.

WŁOŚĆ ARNHEIMSKA

Mojemu przyjacielowi Ellison'owi sprzyjał niezmiennie, od kolebki do grobu, wiew pomyślności. Bynajmniej nie używam tu tego słowa w znaczeniu tylko potocznym. Owszem, posługuję się niem jako synonimem szczęśliwości. Zdawało się, że człowiek, o którym mówię, przyszedł na świat, by przed czasem ucieleśnić w sobie nauki Turgot'a, Price'a, Priestley'a i Condorcet'a — by stać się żywym przykładem tego, co uchodziło ongi za chimerę perfekcjonistów. Krótkie życie Ellison'a obaliło — jak sądzę — w zupełności twierdzenie, jakoby w samej istocie człowieka krył się jakiś tajny pierwiastek, wykluczający szczęście. Szczegółowe rozpatrzenie jego dziejów dało mi do poznania, że nędza ludzkości wynika naogół z naruszenia niewielu prostych prawideł człowieczeństwa — że rozporządzamy mnóstwem niewyzyskanych jeszcze czynników zadowolenia — jakoteż że nawet teraz, wśród obecnego zaćmienia i zblakania się wszelkiej myśli, mającej na celu wielką sprawę stosunków społecznych, nie jest rzeczą niepodobną, by człowiek jako jednostka w pewnych niezwykłych i wysoce przypadkowych warunkach nie mógł być szczęśliwy.

Takimi i tym podobnymi poglądami przejął się również głęboko młody mój przyjaciel, godzi się przytem zauważyć, iż nieprzerwana radość, znamionująca jego życie, w znacznej mierze była wynikiem wprzód powziętego zamiaru. Nie ulega wątpliwości, iż przy mniejszym zasobie tej instynktownej filozofji, co niekiedy tak dobrze zastępuje miejsce doświadczenia, nadzwyczajne powodzenie życiowe byłoby strąciło Mr. Ellison'a w pospólną otchłań niedoli, co zieje u stóp ludzi, wyposażonych nad miarę. Wszelako bynajmniej nie zamierzam pisać rozprawy o szczęściu. Poglądy mego przyjaciela dają się streścić w kilku słowach. Uznawał on tylko cztery węgielne zasady, czyli — ściślej mówiąc — warunki szczęśliwości. Za najgłówniejszy (czy to nie dziwne?) uważał rzecz tak prostą a wyłącznie fizyczną, jak swobodny ruch na wolnym powietrzu: „Zdrowie — powiedział — które osiąga się innymi sposobami, nie zasługuje niemal na to miano.“ Wykazywał rozkosze myśliwych, polujących na lisy, zaś ci, co chodzą za plugiem, byli dla niego jedynymi ludźmi, którzy, jako stan, słusznie mogą uchodzić za szczęśliwszych od innych. Drugim jego warunkiem była miłość kobiety. Trzecim i do urzeczywistnienia najtrudniejszym, wyrzeczenie się ambicji. Czwartym był dlań przedmiotem nieustannych dążeń; utrzymywał on, iż kiedy inne rzeczy w równej są mierze, zasoby dającego się osiągnąć szczęścia

pozostają w prostym stosunku do uduchowienia owego przedmiotu.

Ellison zwracał na siebie uwagę nieustannym nadmiarem darów, którymi szczerze wyposażyła go opatrność. Górował urodą i wdziękiem nad innymi ludźmi. Umysłowość jego była tego rodzaju, iż przyswajał sobie wiedzę nie tyle przez pracę, co przez intuicję i wewnętrzną konieczność. Ród jego należał do najznamienitszych w narodzie. Żona jego była najpowabniejszą i najbardziej przywiązaną wśród kobiet. Mienie jego zawsze było pokaźne, kiedy wszakże doszedł do pełnoletności, okazało się, iż wyszło na jego korzyść jedno z owych niesłychanych zrządzeń losu, co wprawiają w osłupienie całe kręgi społeczne, wśród których się zdarzają i rzadko nie przeobrażają ustroju moralnego wybranych przez siebie jednostek.

Wydarzyło się mianowicie, iż na niespełna sto lat przed pełnoleciem Mr. Ellison'a w pewnej odległej prowincji zmarł niejaki Mr. Seabright Ellison. Gentleman ten zebrał książęce skarby, a nie mając bliższych krewnych, powziął dziwaczną myśl, by to mienie kapitalizowało się przez całe stulecie odednia jego śmierci. Zarządziwszy przezornie i szczegółowo różne sposoby oprocentowania, przekazał w całości swe bogactwa temu swojemu najbliższemu krewnemu, noszącemu nazwisko Ellison'a, który będzie żył pod koniec setnego roku. Niejednokrotnie czyniono starania, by obalić ten osobliwszy zapis, lecz podjęto je po niewczasie i spełzy na niczem. Obudziło to podejrliwość rządu i wkońcu wydano ustawę, zabraniającą podobnego gromadzenia skarbów. Nie zapobiegła wszakże ona temu, iż młody Ellison jako spadkobierca swego przodka Seabright'a, w dwudziestą pierwszą rocznicę swych urodzin wszedł w posiadanie majątku, wynoszącego czterysta pięćdziesiąt milionów dolarów.

Kiedy rozeszła się wieść, jakie nieprzebrane bogactwa stanowią tę puściznę, zaczęto oczywiście zastanawiać się nad tem, jak ją zużytkować należy. Ogrom, jakoteż możność niezwłocznego podjęcia tej gotówki wprawiała w osłupienie ludzi, rozmyślających nad tym przedmiotem. Gdyby chodziło o właściciela jakiegos, podlegającego ocenom majątku, wyobrażanoby sobie, iż dokona tej, lub owej rzeczy. Gdyby skarby jego dawały mu tylko przewagę nad innymi współziomkami, możnaby było przypuścić, iż rzuci się bez pamięci w odmet współczesnego, zbytkownego użycia — albo że weźmie udział w sprawach politycznych — albo że będzie dążył do władzy ministerjalnej — albo że za pieniądze uswietni ród swój tytułem szlacheckim — albo że założy wielkie muzeum — albo że stanie się szczydłem orędownikiem literatury, sztuki i umiejętności — lub wreszcie, że

będzie szukał chluby w zakładaniu i wyposażaniu wielkich instytucyj dobroczynnych. Lecz dla niepojętych wprost bogactw, co przeszły w posiadanie spadkobiercy, dziedziny te, jak zresztą wszystkie zwyczajne dziedziny, wydawały się zbyt ograniczonym polem działania. Uciekano się do obliczeń, ale te w tem większe wprawiały zakłopotanie. Przekonano się bowiem, że nawet przy trzech od sta roczny dochód od tej puścizny wyniesie trzynaście i pół miliona dolarów, co czyniłoby milion sto dwadzieścia pięć tysięcy na miesiąc, albo trzydzieści sześć tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt sześć na dzień, albo tysiąc pięćset czterdzieści jeden na godzinę, albo dwadzieścia sześć dolarów na każdą bieżącą minutę. Utarte szlaki przypuszczeń na tem się urywały. Nie wiadano, co myśleć. Byli nawet tacy, co sądzili, iż Mr. Ellison wyrzeczce się conajmniej połowy swojego majątku jako najzupełniej zbytecznego nadmiaru i dostatkami obdzieli sowiec cały zastęp swych krewnych. Jakoż najbliższym z nich oddał on istotnie swe ogromne majątności, co należały do niego przed odziedziczeniem spadku.

Mimo to nie zdziwiłem się wcale, gdy się dowiedziałem, że już oddawna miał wyrobiony pogląd na sprawy, co wywołały tyle sporów wśród jego przyjaciół. Nie zdziwiły mnie również jego postanowienia. W zakresie dobroczynności osobistej uczynił zadość swemu sumieniu. Natomiast (wyznaję ze smutkiem) niebardzo wierzył w możliwość jakiegokolwiek poprawy, mającej — jak powiadają — dokonać się w położeniu ludzkości za przyczynieniem się samego człowieka. Zresztą, aczczęściem czy nieszczęściem, poprzestał w znacznej mierze na sobie samym.

Był poetą w najobszerniejszym i najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa. Ponadto zdawał sobie sprawę z właściwego charakteru, ze szczytnych celów, z górnej godności i dostojęństwa odczuwać poetyckich. Wiedział instynktownie, iż najpełniejsze, jeżeli nie jedyne, właściwe odczuwać tych zaspokojenie polega na stworzeniu nowych form piękna. Pewne właściwości, czy to nabyte przez wychowanie, czy też wynikające z rodzaju jego umysłowości, nadały wszystkim jego poglądom zabarwienie tak zwane materialistyczne; i zapewne z tych to skłonności brało początek jego przeświadczenie, iż ostatecznie najbardziej sprzyjającą, jeżeli nie wyłączną, prawowitą działalnością poetyckiej dziedziny stanowi twórczość nowych rodzajów jedynie fizycznej kraszy. Oto powód, dla którego nie został ani muzykiem ani poetą — przynajmniej w najpowszedniejszym słowa tego znaczeniu. Być również może, iż nie ubiegał się o to dlatego, by nie sprzeniewierzyć się swemu przekonaniu, że wyrzeczzenie się ambicji stanowi jeden z istotnych warunków szczęścia na ziemi. Jakoż czy

nie jest to naprawdę rzeczą możliwą, że o ile geniusz wyższego rzędu bywa z konieczności ambitny, o tyle geniusz najwyższego rzędu wzbija się ponad to, co nazywa się ambicją? I co za tem idzie, czy nie istnieli poeci, więksi od Milton'a, którym nie sprawiało to przykrości, że byli „niemi i niesławni“? Sądzę, że świat jeszcze nie widział, i — jeżeli pominiemy niektóre okoliczności, zniewalające najszczytniejsze umysły do niegodnych wysiłków — że nigdy nie zobaczy w wytworniejszych dziedzinach sztuki owej pełni triumfującego wykonania, do jakiego natura ludzka bezwzględnie jest zdolna.

Ellison nie został ani muzykiem, ani poetą, jakkolwiek nie było może człowieka, bardziej odeń rozmiłowanego w muzyce i w poezji. Gdyby żył w odmiennych warunkach, byłby może został malarzem. Rzeźba, acz w swej istocie szczerze poetyczna, zbyt jest ograniczona w swym zakresie i w swych wynikach, by mogła kiedykolwiek stać się przedmiotem jego uwagi. Wymieniłem wszystkie dziedziny, w których wedle powszechnego mniemania może znaleźć ujście popęd poetycki. Atoli Ellison utrzymywał, iż najbogatsza, najprawdziwsza, najnaturalniejsza i snadź najobszerniejsza także dziedzina pozostaje w niepojętem zaniedbaniu. Ogrodnik-pejzażysta w niczyjem mniemaniu nie uchodził dotychczas za poetę; a jednak stworzenie ogrodu pejzażowego stanowi dla powołanej Muzy przedziwną sposobność do opisu. Jestto niewątpliwie najwdzięczniejsze pole dla polotu wyobraźni, zestawiającej bez końca formy nowego piękna; a czynniki, wchodzące w skład tych zestawień należą do najprzedniejszych i najświetniejszych wśród plodów ziemi. W różnokształtności i różnobarwności drzew oraz kwiatów dopatrywał się on najbezpośredniejszego i najusilniejszego dążenia przyrody do fizycznego piękna. Zaś w kierowaniu lub zespalaniu tych dążeń, czyli — dokładniej się wyrażając — w przystosowaniu ich do oczu, którym dano jest oglądać je na ziemi, czuł się zobowiązanym do stosowania najlepszych sposobów — do jak najowocniejszej pracy, aby przez nią uczynić zadość nie tylko swemu własnemu powołaniu poety, ale także wzniosłym zamierzeniom, dla których Opatrzność wszczepiła w duszę ludzką popęd poetycki.

„Przystosowanie ich do oczu, którym dano jest oglądać je na ziemi“. Mr. Ellison, wyjaśniając to powiedzenie, zbliżał się niemal do rozwiązania tego, co zawsze wydawało się mi zagadką — mianowicie owego spostrzeżenia (któremu prócz ludzi bezzmysłnych nikt nie zaprzeczy), iż w przyrodzie niema takich zespołów krajobrazowych, jakie może stworzyć genialny malarz. Raję, jarzące się na obrazach Claude'a¹⁾,

¹⁾ Claude Lorrain (Przyp. tłum.)

nie istnieją w rzeczywistości. W najbardziej czarownym krajobrazie naturalnym zdarza się zawsze bądźto nadmiar, bądź też usterka — częste nadmiary i częste usterki. Ponieważ części składowe, biorąc każdą z osobna, nie mogą odpowiadać najwyższym wymaganiom artystycznym, przeto ich układ będzie zawsze potrzebował ulepszeń. Słowem, niema takiego miejsca na ogromnej powierzchni ziemi naturalnej, gdzieby baczno oka artysty nie razily uchybienia w tem, co zowie się kompozycją krajobrazu. A jednak jakież to niepojęte! We wszystkich innych sprawach słusznie nawykliśmy uważać przyrodę za swą zwierzchniczkę. W szczegółach nie śmiemy z nią współzawodniczyć. Komużby przyszło do głowy naśladować barwy tulipana lub udoskonalać kształty konwali? Błądną jest krytyka, która rozpatrując dzieło rzeźby lub malarstwa portretowego, utrzymuje, iż w tym wypadku należy przyrodę raczej wyszczytniać lub idealizować, niż naśladować. Ani malarzkie, ani rzeźbiarskie zestawienia czynników urody ludzkiej nie dokażą tego, co pojawienie się piękna żywego i oddychającego. Jedynie w pejzażu ta zasada krytyczna nie zawodzi; kiedy jednak wyczuło, iż jest ona prawdziwą w tym jednym wypadku, za podszepem zbyt ręcznego ducha uogólnienia poczęto głosić, iż jest także prawdziwą we wszystkich wogóle dziedzinach sztuki. Powiadam: kiedy wyczuło — gdyż wyczuwanie nie jest ani przesadą, ani chimera. Wiedza matematyczna nie rozporządza bardziej bezwzględnyimi dowodami od tych, których dostarcza artyście poczucie jego sztuki. On nietylko wierzy, ale i wie istotnie, że taki a nie inny, pozornie samowolny układ tworzywa stanowi, i to wyłącznie stanowi o rzeczywistości pięknie. Wszelako powody jego nie weszły jeszcze w ten okres dojrzałości, by dały się ująć w słowa. Dopiero przy pomocy analizy, o wiele głębszej niż ta, którą dotychczas posługiwano się na świecie, możnaby je należycie zbadać i wyrazić. Jednak w tych instynktowych przeświadczeniach utwierdza go zdanie wszystkich jego braci. Wyobraźmy sobie „kompozycję“ chybioną; przypuśćmy, iż zachodzi potrzeba ulepszeń w samym tylko układzie formy i oddajmy ją pod sąd wszystkich artystów całego świata, a zgodzą się wszyscy na to, że jest konieczna. Co więcej, by usunąć błąd z kompozycji, każdy z członków bractwa, niezależnie od innych, będzie doradzał tę samą poprawkę.

Powtarzam, iż w przyrodzie fizycznej jedynie układ krajobrazu może podlegać udoskonaleniom, oraz że udoskonalenia w tym zakresie były dla mnie tajemnicą, której przeniknąć nie mogłem. Własne me rozmyślenia nad tym przedmiotem wyraziły się w przypuszczeniu, iż przyroda zamierzała pierwotnie w ten sposób urządzić powierzchnię ziemi, by właściwe człowiekowi poczucie doskonałości w zakresie piękna, wzniosłości i malowniczości było najzupełniej zaspokojone; lecz że owo pierwotne zamierzenie spełzło na niczem wskutek znanych przewrotów geologicznych — przewrotów we formie tudzież w zespole barw, których poprawianie lub kojarzenie stanowi istotę sztuki. Wszelako doniosłość tego przypuszczenia osłabiał wielce wysnuty z niego wniosek, że przewroty te nie były normalne i do żadnego nie zmierzwały celu. Dopiero Ellison poddał mi myśl, że były one zwiastunami śmierci, a uzasadniał ją w ten sposób: Przypuśćmy, iż najpierwszem zamierzeniem była ziemska nieśmiertelność istot ludzkich. Przeto pierwotny wygląd skorupy ziemskiej odpowiadał temu ich błogostanowi, wazakże jeszcze nieistniejącemu, lecz dopiero zapowiedzianemu. Przewroty zaś były przygotowaniem do postanowionego następnie, przejściowego ich bytu.

— To, co my uważamy za uszlachetnienie krajobrazu — dodał mój przyjaciel — może niem być istotnie, lecz tylko za stanowiska moralnego, czyli ludzkiego. Wszelka zmiana w rozkładzie naturalnym może być z uszczerbkiem dla obrazu, o ile wyobrażymy sobie, że obraz ten widzi ktoś w całości, z jakiegoś miejsca poza skorupą ziemską, lecz nie poza rubieżami jej atmosfery. Rzecz prosta, iż to, co przyczynia się do udoskonalenia zbliska widzianego szczegółu, może równocześnie szkodzić wrażeniu całości, zwłaszcza oglądanej zdaleka. Kto wie, czy niema pewnego rodzaju istot, ludzkich niegdyś, lecz teraz dla naszych oczu niewidzialnych, którym nasz nieład wydaje się z oddali ładem, a nasza niemalowniczność — malowniczością; słowem, kto wie, czy nie istnieją anioły ziemskie i czyto nie dla nich raczej niż dla nas — czy nie wedle ich pojęć oraz wyszlachetniono przez śmierć zmysła piękna — powstały za zarządzeniem Opatrzności pejzażowe ogrody, rozkolone na obu półkulach?

(C. D. N.)

Z „GOLGOTY SERCA I DUCHA“

DRZWI TINTAGILESA.

Zawarły się straszliwe okrutne wrota — dźwirza żelazne, ciężkie, zapadły nagle przed oczyma memi rozświeconymi.

I stoję przed nimi jak biedny mały Tintagiles Maeterlincka — słabemi rękoma usiłuję ruszyć, pchnąć te drzwi przekłete — dobijam się do nich, szarpie je, targam nimi, głową o nie biję w jęku bezsilnym.

Krwawią się palce, łamią nędzne kości, a ohydne czarne żelazne dźwirza wciąż zamknięte,

Jak trumny wieko! — —

Zakryły mi ukochanie moje,

jak bezlitosna morska fala, co wszystko pochłania,

jak piasek pustynny, co pogrzebał karawanę,

jak lawa piekielna, co zalała świat!

O straszne, okrutne dźwirza gwałtu i przemocy — czarniejsze od grobu — potworniejsze od trupiej wyszczerzonej szczęki.

Na zawsze-ście mi zamknęły dostęp do złocistego zaju — do słońca promieni — do upajających kryształowych błękitów!

Zawarliście mi drogę do Radości Życia — do świetlanej ducha i Serca Rozkoszy —

O czarne, żelazne, potworne drzwi przemocy i gwałtu —

Bądźcie przekłete!

Rzucony jestem na skalę dziką, oderwaną od ładu — sam — sam jeden —

Tylko maskary ohydne: szare widziadło i zmory, piekielne jakieś majaki wiją się dokoła — jak węże i gady żelazną i czołgają się — gładkie — oślizgłe —

rybie ślepią we mnie wlepiają —

chychoczą śmiechem zduszonym, ochryplym,

radując się z mej męki — —

przedemną pusta, czarna ton — przepaść bezbrzeżna. Klębią się bałwany o potwornych kształtach —

Ale nie hucają, nie jeczą bałwany — syczą tylko zjadliwie, pianą bryzgając, jakby na uragowisko —

Nie wyją wichry — cicho tylko skowyczą jakimś stłumionym jękiem szatańskim —

Dokoła ciemności, mroki, szaleństwo — — I dłonie wychudłe wyciągam w dal, w rozpadłej, bezkresnej, w nieludzkiej udreće —

te dłonie, co kiedyś pieściły czarowne kwiaty z rajskich ogrodów — — —

Ramiona ostatnim wysiłkiem prężą się ku wyzwoleniu — rozpaczy odruchem ostatnim wyrwywają się do słońca — w tęsknicy, co duszę pożera, co krew z żył wysysa — —

Przerażające milczenie, zawrotu mroki, głucha beznadziejna mariewota na skale potępienia i zgrozy —

O skało Tęsknoty —

Bądź przekłeta!

POTWÓR ZALEŻNOŚCI.

(podług obrazu Saszy Schneidera).

Stoję skuty kajdanami — nagi — z opuszczoną głową — niemy — bez duszy — bez woli —

przedemną, dokoła mnie leży obrzydłe czarne jakieś cielsko — wstrętne wypasione — grubą chropawą skórą pokryte. Potwór okrąża mnie — olbrzymie ludzkie jego ręce, o palcach wydłużonych chciwiej, pomarszczone jak grzbiet ropuchy, dotykają nieomal moich stop.

Ani w prawą, ani w lewą stronę ruszyć się nie mogę.

Naprzeciw mnie sterczy łeb jego, porosły rzadką szczecinią szorstkiego włosa — łeb o nosie spleaszonym, o szerokiej gębie, smętnie wykrzywionej —

Patrzy na mnie z ukosa ślepiami okrągłymi, bladymi, szklistymi wielkimi nadmiernie — ohydnie w swem bezmyślnym, idjotycznym okrucieństwie.

Wlepione we mnie ślepia obezwładniają mnie, paraliżują ostatni poryw Świętego Buntu.

Głowy podnieść nie śmiem, by nie spotkać głupawego spojrzenia Bestji, która mnie trzyma na uwięzi — łańcuchami żelaza co mi ręce — nogi pętają, ruszyć się lękam, by mnie nie pochwyciły ludzkie łapy potwora.

Stoję więc skuty kajdanami — nagi — z pochyloną głową — niemy — bez duszy — bez woli —

I tak stać będę wiecznie —

Bo jakież Bóg mnie wybawi? — — —

O potwora zależności —

Bądź przekęty!

OSTATNIA WALKA.

(...rozdziobią nas kruki, wrony)

Śnieg — błękitno-biały — śnieg — pusta płaszczyna — gdzieś sterczy parę czarnych drzew — szkieletów — nagich rozpaczliwie, niby szubienica —

Na skrócie rozstajnej drogi padła kobieta w łachmanach — obnażona prawie. Ciemne włosy rozwiane w nieładzie — szmata jakaś ledwie pierś zakrywa — nogi bose — gołe kolana —

A nad nieszczęsną krąży bliżej, coraz bliżej, stado czarnych wron i kruków — niżej, coraz niżej spuszczają się ku tej, co już bronić się nie ma siły —

Ręką złodowaciała, prawie już bezwładną, odpycha natrętne, dzikie ptactwo żarłoczne —

Ale szpony ich pazurów wpijają się w jej dłonie — jeden ptak śmielszy, zuchwalszy od innych, dziobem szarpie jej łono — pokrótce, a wyrwie, wyżre jej serce z piersi —

Kobieta drętwieje, zamiera — bezsilna rozpacz w czarnych oczach o litość woła bezrozumne ptactwo, jakby wierząc, że kruki i wrony coś innego w niej widzieć mogą niż łup, na żer podatny —

Siny mrok zapada —

dokoła ziemia i niebo szare, puste, bezlitosne —

Kobieta leży martwa —

Już się nie broni — — —

O wrony i kruki żarłoczne —

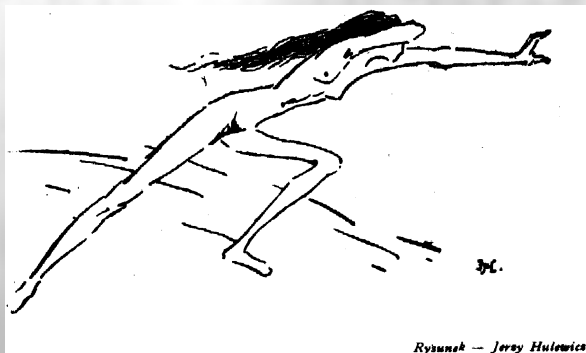
O potworze zależności —

O skało Tęsknicy —

O straszne drzwi przemocy —

Bądźcie przekłete!

ASBEIN.



Rysunek — Jerzy Hulewicz.



Dancing, 1932 — Karel Halava

MICHAŁ SOBESKI

NA MARGINESIE DON KISZOTA

III.

Más versado en desdichas que en versos — więcej obyły w nieszczęściach niż w wierszach, jak sam o sobie powiada — a jednak nigdy nie zgnębiony i nie zniechęcony: oto jeden z głównych akordów „żywota i dzieł“ Cervantesa. Żywota i dzieł — bo ani ciosy życiowe ani literackie nie są w stanie zniewolić go, by zboczył z swej drogi, by zapał się samego siebie. Podczas ciężkiej pięcioletniej karni algierskiej jest licznym towarzyszom niedoli ostoją wytrwania i nadziei. On, artysta z krwi i kości, mimoza drżący za lada podmuchem życia, umie być, gdy trzeba, dębem, silnie w ziemię wrosłym i dumnie ku niebu wyprostowanym. Ciężko walcząc o marny kawałek chleba, posądżany niewinnie o sprzeniewierzenie, a nawet o kupczenie cziłą własnej rodziny, pozostaje niezmiennie sobą — jakoby ku poparciu doktryny nietylko Schopenhauerowej; o niezmienności indywidualum od kolebki aż do grobu mimo wszelkich wpływów otoczenia, warunków, wychowania i t. d. Prawa, szczerą, otwartą i ufna jego natura nie pacy się ani o włos. Ani nie traci promiennej wiary w ludzi, ani im nawet nie złorzeczy ku uldze znękanego serca. Owszem, właśnie wtedy, gdy grozi mu znów więzienie, a może gdy nawet w niem ślęczy jak uporczywie twierdzi podanie — pisze promienne, mieniące się złotem na zewnątrz i wewnątrz dzieje Kiszota. I pisze je na to, by „melancholik się uśmiechnął, by człek wesół stał się jeszcze weselszym, by prosty na duchu się nie frasował, by mądry rozkoszował się inwencją, a człek roztropny nie zaniechał chwaleb.“

Mądrą i głupią, wesolą i smutną mieni tedy brać swą, rozdzielając między nią swe skarby. Czyżby nie widział, że umie ona być także dobrą i złą? Czyżby zapomniał, jak ciężkie są kajdany galernika, nakładane rozkoszną nadzieją sowitego okupu? jak łatwo zwalić własną winę na towarzysza, zapatrzonego więcej w serce ludzkie niż w książki kasowe? A ze złem zapoznał się nietylko na własnej skórze. Nie było mu obce i wszelakie cudze zło, nawet w postaci najohydniejszej — jak świadczy choćby gruntowne jego obeznanie z Compás de Sevilla, częścią miasta, skupiającą w sobie męty ludzkie, najwięcej przykre i ponure. Więc chyba, tworząc sobie filozofję życia i ludzi, zapomniać chciał, bo musiał, bo mu tak nakazywało najgłębsze przeświadczenie, iż „zła“ właściwie niema na świecie, choćby było na świecie całe morze nieszczęścia. Więc chyba odżyła w nim samorzutnie prastara mądrość Sokratesowa,

że etyczne dobery i niedobory człowieka równają się jego wiedzy o dobru i złu, że dobre może czynić tylko, kto wie, co jest dobro, że złe postępuje, kto nie wie, co jest zło, słowem, że niemożliwym jest, by istniał człowiek czyniący złe świadomie i z umyśłu. Chyba z tego ducha poczęty był jego wiecznie słowny i wiecznie dobrotliwy uśmiech, jakim darzył ludzi — mimo że ludzie troskliwie baczyli, by nie wysychał mu kielich goryczy bodaj na chwilę.

Prócz życia dokuczala mu także literatura. Wprawdzie Kiszot miał duże powodzenie, choć materialnie nie ulżył mu zgoła. Lecz Kiszot — jak o tem była mowa — wślawił go, gdy miał już 58 lat, gdy był już napisał tyle innych utworów, które nie daly mu zasłużonej sławy. A potem Kiszot nie był może wcale najukochańszemu jego dzieckiem. W każdym razie drogiemi jego sercu były i Galatea i powieść o Persilesie i Sigismundzie i bądź co bądź cała galerja postaci z jego dramatów. Czyż nie musiał dramatów swych kochać tem więcej, widząc zupełną obojętność publiczności, zawojowanej przez Lopego de Vega? Cała ta sprawa była niewątpliwie dla niego tym przykrzejszą, że nie zdawał sobie — jak tylu innych autorów — dobrze sprawy, w jakiej dziedzinie biją najpotężniejsze źródła własnej twórczości. Szukał ich przez tyle lat uporczywie w dramacie i w lirycie. Bardzo późno uprzytomnił sobie, że liryka nie jest jego właściwą dziedziną. Choć znał zalety swej prozy, to jednak niedocenił całkowicie swego arcy-mistrzostwa w noweli i powieści. Może najwięcej spodziwał się po dziełach, które w sercu nosił, gdy już miał „nogę w strzemienu śmierci“ — nie przypuszczając zgoła, że już jest kwiatem i koroną prozy kastyljskiej. Nie umierał jak Wiktor Hugo lub Tennyson, syt sławy i zaszczytów, przeświadczony o własnem mistrzostwie. Gdyby był jeszcze żył, byłby zapewne dalej szukał swej „właściwej“ drogi.

Wytchnienia nie dalo mu tedy ani życie ani literatura. Niepokój jutra, tu i tam, wypełniał mu serce — serce, — mimo wszystko nie wąpiące nigdy. A tę hartowną ufność ulatwiały mu — prócz przeświadczeń niemal Sokratesowych — jeszcze inne czynniki, inne zbawcze moce, pozwalające mu być nieublaganym i nigdy nie zawodzącym strażnikiem własnej indywidualności. Mocami temi były trzy wierzenia, trzy dogmaty narodowo-hispańskie, wysrane z mleka matki: honor, król i religja rzymsko-katolicka.

Honor winien być „dogmatem“ każdego człowieka — lecz poczucie honoru nie nabrało zapewne nigdzie takiego wysubtelnienia jak w Hiszpanji, karmionej bez przerwy ideałami średniowiecznego rycerstwa. Stąd gra honor w jej piśmiennictwie niezwykłą rolę. A rdzeń jej stanowi przeświadczenie, że uchy-

bień honorowi właściwie tylko krwią zmazane być może. Mężczyzna, gdy chodzi o kobietę, jest tam zawsze urodzonym Otellem, mającym ustawicznie pugnał w pogotowiu. Ideą platońską, arcywzorem wszystkich tych postaci, w dramatach i w życiu, mógłby być Calderona „Lekarz swego honoru”. Kulturowanie honoru niemal jako zawodu życiowego byłoby szczytem marzeń duszy hiszpańskiej. Ponieważ do ideału tego zbliża się najczęściej zawód żołnierza, przeto wytwarzają się czasy, gdzie każdy pragnący być „czemś” — na co wskazuje słowo *hidalgo* czyli *hijo de algo*, szlachcic — jest żołnierzem. Pod chorągiew garną się chluby iberyjskiego Parnasu: Lope de Vega, Camoens i wielcy lirycy Boscán, Garcilaso i Ercilla. I widzieliśmy z jakim zapalem chwytają się Cervantes rzemiosła żołnierskiego, albowiem, jak twierdzi Kiszot „nigdy lanca nie stepiła pióra a pióro lancy.”

Oczywiście do *sublime au ridicule...* jak powiedział i wiedział doskonale Napoleon. A tego *ridicule* nie braknie. Honor staje się straszakiem, marotką. Przeczulona kazuistyka honoru „udawadnia”, że właściwie wszędzie i ciągle może on być narażony na szwank — choćby, jak dowcipnie zauważono, przez muchę osiadłą na nosie. Przesady te wydrwiano tylokrotnie. Mimo to warto raz jeszcze rozradować się subtelną ironją Jana Potockiego, malującego szczegółowo w „Rękopisie znalezionym w Saragocie” (wydanym świeżo w przekładzie Edmunda Chojeckiego przez Jana Lorentowicza w zbiorze p. t. „Muzy”) zaszczerpanie hiszpańskiego poczucia honoru w duszę młodego Alfonsa Van Worden, późniejszego kapitana w gwardji wallońskiej. Np. wyprzedzenie własnego powozu przez inny powóz, jadący szybciej, nie jest „zniewagą”, ani nie jest „rzeczą zbyt wielkiej wagi”, lecz mimo to „ma coś niemilego”. Starczy tedy, wydobywszy szpadę i zmierzwszy się z jegomością z szybszego powozu, „poprzestać na pierwszej krwi”.

Drugim bożyszczem duszy hiszpańskiej, duszy Cervantesa, jest król. Nie dochodzi on wprawdzie do tej bezwzględnej egzaltacji co Calderon, lecz bądź co bądź i dla niego są wszelakie czyny króla dobre. Spotkawszy bandę złoczyńców, prowadzonych w kajdanach, dowiaduje się Kiszot, że są to „ludzie zmuszeni przez króla iść na galery”. Czy to możliwe, pyta się z największym zdumieniem, by król kogośkolwiek zmuszał? Uwielbienie króla nie jest tedy jednoznaczne z uwielbieniem despotyzmu. W duszy Cervantesa pozostaje dość miejsca na liberalizm. Żyje w niej nawet bardzo silne umiłowanie wolności, którą przynajmniej bezwzględnie wszystkim ludziom. W jej imię oswabada Kiszot galerników, swych

„braci najdroższych”, wygłaszając przytem uroczyste słowa: wydaje mi się okrutnym czynić niewolnikami tych, których Bóg i przyroda uczynili wolnymi (część I. rozdział 22). Kiszot wprost kocha bandytów, ograbiających bogatych celem rozdzielania łupu między biednych. Herszt ich Roque Guinart jest w oczach jego wielkoduszny i mądrym. Zadzierzguje się między nimi silny węzeł przyjaźni. Nie skłonności dekadentki wiodą Kiszota ku wyrzutekowi społeczeństwa. Nie zstępuje do nich dla tego, że są wyrzutekami, że budzą jako tacy dreszcze rozkosznej grozy — jeno dla tego, że są mu wyrazem bezwzględnej sprawiedliwości. Odczuwa olbrzymie różnice społeczne w gruncie rzeczy jako olbrzymią krzywdę. Roque Guinart, pracujący na swój krwawy sposób dla uciemnionych i wydziedziczonych, budzi mimowoli sumienie tych, którym z takim stanem rzeczy tak dobrze. Jest on żywym, krzyczącym protestem. Stąd ciche uwielbienie ludu wszelakich narodowości dla wszystkiego, co łamie „prawo”, będące dla ludu tak często bezprawiem. A hiszpański i Cervantesowy kult króla, to głębokie przeświadczenie, że właśnie w „królu” żywie prawdziwe „prawo” — a nie to, które jednych wydziedzicza, dla drugich zaś ma wszelakie pod dostatkiem, bo to prawo ukuli ku własnemu pożytkowi ci, co ustawili się między „ludem” a „królem”. Tem tłumaczy się współzycie w jednej piersi instynktu bezwzględnej wolności z bezwzględnym poddaniem się woli władcy. Jest to ufne zdanie się dziecka na wolę ukochanego ojca, który już mu dał niejeden dowód zbawienności swego ojcowskiego despotyzmu.

Ufna wiara w posłannictwo władców wywyższa i opromienia Cervantesowi wszystkich, mających ksząącą krew w żyłach. Widzi wprawdzie ich zwykłe ludzkie błędy i braki, lecz nie wątpi, że szlachetna krew prędzej czy później weźmie górę. Książę Fernando np., który był postąpił z Doroteą wielce po łajdacku, naprawia wreszcie sam własne winy, gdyż mężna jego pierś, jako ożywiona krwią szlachetną, ulega i pozwala zwyciężyć prawdzie (część I. rozdział 36).

Całkiem ta sama wiara, że od „legalnej” władzy może pochodzić jeno wszystko „legalne” czyli dobre, sprawia, że Cervantes domaga się nawet najwyższego trybunału cenzury literackiej. On, co wyznaje wszystkie kierunki, wszystkie ówczesne „izmy”, co w *Viaje al Parnaso* rozsiewa na prawo i lewo słowa uznania — domaga się ostrej, nieubłaganej cenzury, szczególnie nad komedjami. W rozdziale 48-mym pierwszej części Kiszota — wymierzwszy w pierw kilka dotkliwych razów komedjom Lopego — sądzi, że wszelkie „nadużycia” komedjopisarzy ustalyby, gdyby w stolicy był wyznaczony „rozsądny” człowiek, któryby badał

wszelkie komedje. Bez jego pozwolenia nie wolno grać żadnej komedji w całej Hiszpanji. W ten sposób, ze strachu przed cenzurą, pisaliby autorzy komedje dobre... Czyż nie musiało być nieraz dobrze i jasno w duszy człowiekowi, opancerzonemu tak silną wiarą w prawowierną władzę, czy państwową czy literacką? Przynajmniej w tych sprawach nie miał niepokoi. A nadto posiadał jeszcze trzeci port bezpieczny, gdzie mógł się chronić przed rozkielznanymi bałwanami burzliwego swego życia: wiarę rzymsko-katolicką. Sumieniem chrześcijańskim wstrząsały wówczas wciąż jeszcze silne przewroty, wywołane przez t. zw. reformację i katolicką przeciwreformację. Jego zaś, z całą niemal Hiszpanją, wstrząśnienia te nie dotyczyły. Bezwzględna katolicka prawowierność zaświadcza kultura hiszpańska niemal ustawicznie.

Hiszpanja kocha gorąco swą wiarę katolicką, tym więcej, że utożsamia ją z nacjonalizmem. Toż dzięki niej ostała i utwierdziła się narodowo, bo ona głównie podniecała przez 600 przeszło lat do walki z muzułmańskimi najeźdźcami. A na dobitkę nad prawowiernością Hiszpanji czuwało jeszcze z wyczułoną troskliwością Santo Oficio czyli Inkwizycja. Nie miejsce tu sądzić o znaczeniu Inkwizycji, odgrywającej właśnie w życiu Hiszpanji bez porównania większą rolę aniżeli gdzieindziej. Dość wspomnieć, że w oczach jednych była Inkwizycja zbawieniem kultury hiszpańskiej, utożsamianej z kulturą katolicką i kulturą romańską wogóle. Powstrzymała bowiem nową nawałę barbarzyńców północy, t. j. germańskiegol protestantyzmu. W oczach innych ona głównie zawiniła, że Hiszpanja pozostała daleko wstecz za innymi narodami w naukach i w filozofji — mimo że wytworzyła wspaniałą literaturę i sztukę. Czy inkwizycja zawiniła czy nie, faktem jest, że samodzielna myśl filozoficzna nie istniała niemal wcale w Hiszpanji za czasów potęgi Inkwizycji. I wogóle myśl filozoficzna — jak stwierdza znakomity znawca kultury swego narodu Juan Valera w „Disertaciones y Juicios literarios“ Madryt 1887, str. 36 i nast. — zamieniła się była wówczas na pusty ergotyzm w szkołach. Stała się obojętną ludzjom światowym. W oczach niektórych erudyłów posiadała wartość jeno jako stoicka doktryna moralna, nie metafizyczna, a właściwie tylko jako doktryna literacka. Wyznawcy jej zachwycali się mniej nauką i szczytnymi prawidłami etycznymi Chryzypa jak deklamacyjnością i pompacyjnością Seneki. Słowem, filozofji, jako nauki szukającej samowładnie prawdy, nie uznawano. Boć prawdy nie potrzeba było szukać. Dawala ją już gotową i wszechstronnie urobioną wiara katolicka. Tak mówił sobie, razem z całą Hiszpanją, Cervantes. Więc i niepokojąca sprawa stosunku wiary do rozumu nie istniała dla niego wcale.

Istniała natomiast na tle tem inna sprawa, wnosząca i w jego ufnę, dziecięce serce pewną rozterkę. Mianowicie sprawa stosunku człowieka świeckiego, kochającego świat i jego blaski, lecz głęboko wierzącego, do człowieka, oddanego wyłącznie życiu bożemu. Rozdział ósmy drugiej części Kiszota jest wyrazem niepokoiu, nieodłącznego od tego zagadnienia. W rozmowie z Sanczą sławi Kiszot wielkie czyny, rodzące się z żądzy sławy, ambicji i miłości ojczyzny. Sanczo, ów uosobiony zdrowy chłopski rozum, przeczy mu. Gdzie są dzisiaj — pyta go się prostodusznie — wszyscy wielcy bohaterzy starożytności, którzy nie zaznali łaski chrztu świętego? Zbawionymi nie są. Lepiej tedy być skromnym braciszkiem zakonnym, służącym pokornie Bogu, aniżeli wielkim bohaterem. Wszyscy cesarze pogańscy, razem wzięci, nie są tyle warci co relikwje jednego świętego, przed którym lud modli się na kolanach i doświadcza wysłuchania swych modłów. Bogu więcej się podobają dwa tuziny uderzeń biczem, wymierzonych sobie w pokorze ducha, aniżeli dwa tysiące pchnięć lancą, skierowanych przeciw olbrzymim smokom. To wszystko jest prawda — odpowiada Kiszot na to Sanczo, a więcej sobie — lecz nie wszyscy możemy być braciszkami klasztornymi. Rozmaite są drogi, po których Bóg wie dzie swych wybranych do nieba.

Jak nieraz, tak i tym razem odnosi Sanczo nad Kiszotem zwycięstwo. Bo i jakże mogłoby być inaczej wobec tego, że jest on w gruncie rzeczy — jak o tem będzie niebawem mowa — drugą stroną duszy Cervantesa? Lecz zwycięstwo to jest nieco schowane między linjami. Czysto mistyczne stanowisko, zawarte w prostych słowach Sanczy, kryje Kiszot sam przed sobą — jak nieraz człowiek, rozmiłowany w mądrości świeckiej a przytem głęboko wierzący, odpycha od siebie myśl, że właściwie mądrość całego świata na nic się nie przyda, że jednak „mędrzyczmi“ są wszyscy, mówiący za Tomaszem a Kempis'prosto a nieubłaganie: pocóż zgłębiać rzeczy, o które na sądzie Bożym nikt nas pytać nie będzie?

Ta sama nuta mistyczna dźwięczy także w „Nowelach przykładnych“ w słowach licencjata Vidriery: „A kimże byli wszyscy niemal święci, których kościół w ostatnich latach kanonizował? Żaden z nich nie nazywał się „kapitan taki a taki“, ani „sekretarz takiego a takiego możnowładcy“, żaden nie był hrabią, ani księciem, ani markizem; imiona ich brzmią: brat Jakób, brat Jacek, brat Rajmund, sami braciszkwie i zakonnicy. Albowiem zakony są to ogrody niebios, których owoce bywają co dzień podawane na stół Boga.“



Rysunek — Tytus Czyżewski.

POEZJE

I.

Droga do Ciebie poprzez serce tysiące,
Co równie drogie, jak Tve — stać się muazą;
Droga do Ciebie przez słońce płonące,
W które się rzucam rozteknioną duszą.

Droga do Ciebie przez odmęty płaczu,
Przez trudów krocie, przez obłądne śniecia,
Droga do Ciebie... Gdzie dążysz, tulaczu?
Wszak kres tej drogi dalej niż kres życia!...

II.

Więc nic już więcej?... wszystko, co lazrem
Nadzieji tchnęło, wzięty nieukoje...
W jesienny ranek ptak odwrotnym piórem
Goni w tęsknocie w świat na nowe boje!..

Więc nic już więcej?... Ani płomieniste
Połyski oczu nie rozedrą mgławic?
I nigdy niebo już nie będzie czyste?
A gdy zaplonie — to w noc — od błyskawic!

Więc — ścichnij, serce! Naprawdę, naprawdę...
Nie iść ci w świty, ni oddychać wiosną,
Podjąć ci przyjdzie znów dole podróżną,
Tak beznadziejną i tak bezmiłowaną.

III.

Nie można uciec życiu. Chwila się zazębia
O nowych niespodzianych godzin korowody,
Jedna drugą dogania, przewala się, akłębia,
I wszystkie się na wyższe co raz piętrzą schody.

Nie ujdiesz — choćbyś duszę zatracił w rozpuście,
Ukaże Ci się ona z dna wypitej czary,
Ujrzysz ją, jak na białej Weroniki chuście
Widziały święte rysy korne oczy wiary.

Nie ujdiesz z sieci życia. Jakikolwiek dzieje
Uczyniłbyś swojemi i duchem przepoił —
Nie zatracisz się nigdy — i dawne koleje
Nową krwią będziesz rosił, nowym potem znoił.

Wieczność nas ogarnęła. Z jej niezrywanej matni
Próżno pragniesz, wędrowcze, ujść w zapomnień ciszę.
O, mędrzy ten od Ciebie, co w swój dzień ostatni
Patrzy w dal, gdzie się nowa łódź życia kołysze.



IV.

Nie ując w słowa, treści ludzkiej duszy.
Próżno się uczuć pręży kłęb bezsilny,
Jednako zawaze słów korowód mylny;
Kamiennych brył któż moc i bezwład skruszy?

Serce się rwie i cale w męce kona,
I osłupiały przężysz w górę ręce —
Napróżny ból, tęsknota duszy płona.
...Serce się rwie i cale kona w męce.

Cóż że się rwie? — i rzeki lono rwie się —
Cóż stąd że tęskni? — tęsknią i opary.
...Pajęczyn sznur przez pola wicher niesie
I jękiem swym ożywia głębne jary.

Gdy usta słowa wydać nie są w stanie,
I gdy w tęsknocie pierś zamilka głucha,
— Świat cały wtenczas jękiem ci wybucha
I odpowiada na twoje wołanie.

I rwie się potok poprzez skał krawędzie,
Burza mu rykiem z góry odpowiada,
— Duch wtędy hymny ofiarować składa,
Czuje, że był, i wie, że zawsze będzie.

Wilno.

ANTONI PUCHAŁA.



Rysunek — Tymon Niesiołowski.

FR. RAWITA GAWROŃSKI.

TARAS SZEWCZENKO I POLACY

Taras Szewczenko był przede wszystkim poetą lirycznym, nawet wtedy liryka przeważała w jego talencie, gdy temat był ściśle dramatyczny. Inną miarą musi go mierzyć literatura małosruska, a inną — krytyka.

Dla literatury małosruskiej znaczenie jego jest, można powiedzieć, epokowe: nie od Kwitki, Hulaka-Artemowskiego, Kowalewskiego i innych, lecz od niego rozpoczyna się ten okres umysłowego życia ludu ruskiego, który nosi na sobie piętno życia literackiego. On językowi ludowemu nadał tę gibkość, harmonijność i siłę, jakiej każdy język wymaga dla wyrażenia współczesnych myśli. Jak Dante z licznych dialektów stworzył ten piękny włoski język, którym napisał *Komedję Boską*, wzięwszy swoje tokańskie narzecze za podstawę, — tak Szewczenko stworzył język literacki ruski, wzięwszy za podstawę narzecze czehryńsko-połtawskie. Jakkolwiek język literacki ruski nie jest ustalony, ten i ów posługuje się własnym narzeczem, najbliższym mu, jednak narzecze czehryńskie legło w podstawę literatury i już się z tych podstaw wybić nie da. Od języka literackiego, którym się posługiwali Szewczenko i Kulisz, a nawet Kostomarow w młodości swojej, jako Jeremij Hałka, najdalej odbiega Galicja, gdzie Rusini, nie tylko tokiem mowy, ale budową zdania, składnią, a przede wszystkim słownictwem zadziwiająco zbliżając się do polskiego języka. Zbliżenie to byłoby jeszcze bardziej uderzającym, gdyby nie odrębność alfabetu.

Znaczenie poezji Szewczenka dla literatury ruskiej jest, jak powiedzieliśmy, epokowe i niezaprzeczone. Nie mamy jednak zamiaru w szkicu niniejszym analizować charakter i doniosłość jego poezji, ale nie możemy pominąć tych okoliczności, które urabiały jego psychologię, pobudzały jego natchnienie, rozszerzały jego widnokrąg umysłowy i w ogóle kształciły jego umysłowo. Na tej drodze Polacy i literatura polska odgrywali nieposłednią rolę, a ta strona poety jest najmniej pono znana polskim czytelnikom. Nie bardzo się pomył, jeśli powiem — prawie nieznaną. Wpływ ducha polskiego na rozwój ideowy poety ruskiego przez zetknięcie się jego z Polakami byłby może najlepszym dowodem, że zbliżenie się i poznanie u jednostek może torować drogę do poznania się obu narodów, do oceniania krzywd i błędów wzajemnych w przeszłości nie miarą terażniejszości, a zatem do utorowania drogi do lepszej przyszłości. Dzisiejsza sytuacja w Europie podobna jest do wzburzonego morza, na falach którego bujają okręty nasze i ruskie.

Nie prędko się uspokoi to morze i kto wie czy obu okrętom nie wypadnie zawinąć do wspólnego portu, najbliższego i najpewniejszego, niż szukać nowych o bardzo płytkiej wodzie.

I.

Szewczenko, jak obaczmy później, z obcych języków znał tylko jeden język — polski. Pochodził on z głębokiej Ukrainy, z tej części, która niegdyś była kolebką kozaczyzny i hajdamaczyzny. Sfera jego życia i otoczenia nie ułatwiała mu bynajmniej stosunków z polskim społeczeństwem. Dzieckiem — chodził do „diaka“ do szkółki wiejskiej, gdzie się nauczył czytać księgi liturgiczne i śpiewać w cerkwi „na krylosie“. Jako wyrostek, poszedł na służbę lokajską do dworu, do „pana“, na szczęście nie Polaka. Okazał się katem dla dziecka, w którym się samodzielnie budził duch poezji i piękna. Wędrował tedy ze swoim „panem“, synem siostrzeńca księcia Potiomkina, Engelhardt'em — pochodził z krwi niemieckiej, lecz z ducha był Rosjaninem starego pokroju — „barin“, który, służąc w wojsku, zwiedzał Warszawę, Wilno, Petersburg, pił, hulał, włóczył się z kochankami płatnemi i młodemu Szewczence kazał malować ich portrety. Była to szkoła życia, w której nie idee panowały, ale — ruble, karty i wino.

Z konieczności przeto, Szewczenko, stykając się z nizinami życia w Warszawie, musiał mówić po polsku. Z wiadomościami zdobytemi pojechał do Wilna.

W Wilnie był pierwszy etap, gdzie niewątpliwie ułatwił i pogłębił znajomość polskiego języka — oczywiście za plecami „pana“, który łajał i bił po rosyjsku, a rozmawiał — po francusku. Oczywiście — i tu była dostępna dla niego tylko sfera nizin. Młody, żywy, gorący, bez trudu robił znajomości z pięcią piękną. O galerji przyjaciółek wileńskich nie opowiadał nigdy. Może to były przyjaciółki z tej kategorii, o których się nie mówi. Może. Może je nawet spotykał i poznawał w przedpokoju swego „pana“, bo Engelhardt prowadził życie bardzo hulaszczce. Nic-by w tem nie było dziwnego.

Dotykamy ogólniejszych stosunków w życiu T. Szewczenki o tyle, o ile one potrzebne są do poznania tła życia, na jakim ono rozwijało się i płynęło, o ile na tem tle kształtowały się stosunki poety z polakami — zawsze przygodne.

Wspomnieliśmy już, że T. Szewczenko znalazł się w Wilnie. Było to m. w. ku końcowi roku 1829 i w r. 1830 prawie przez cały rok tam przebywał — w tej samej roli, co i w Warszawie, lokaja i nadwornego malarza, „poddanego“ Engelhardt'a. Z konieczności przeto w Warszawie i Wilnie musiał poznawać praktycznie język polski i uczyć się go bez trudu.

W Wilnie los go zetknął z jakąś Polką „Warszawianką.“ Pierwszą wzmiankę o tem podał Michał Czałyj, w r. 1861 inspektor, a potem dyrektor jednego z kijowskich gimnazjów. Był to człowiek o charakterze zgryźliwym, uszczypliwym i jakąś dziwną społeczną nienawiścią nienawidził Polaków. W tym duchu napisana cała jego monografia Szewczenki. Szczęśliwy wypadek zetknął go w Kijowie z uczniem niegdys Akademii sztuk pięknych w Petersburgu Soszenkiem, który był nie tylko znajomym, ale starszym kolegą — później — w Akademii swego „zemlaka“. Jako profesor rysunków w tem gimnazjum, gdzie Czałyj był dyrektorem, udzielał mu mnóstwo szczegółów z życia późniejszego znakomitego poety, z którym czas jakiś razem mieszkał. Tą drogą dostały się do książki Czałego wiadomości biograficzne z okresu włączenia się z Engelhardtem, głównie co do pobytu w Wilnie i Petersburgu. Przez Soszenkę przeto wiemy, że pierwszą kochanką Szewczenka była Polka.)

Czałyj nie zapisał nazwiska tej Polki, dodał tylko złośliwie, że ona nie mówiła inaczej jak tylko po polsku i że Szewczenko z konieczności musiał uczyć się tego języka. Zważywszy sferę, w której żył Szewczenko, owa nieznajoma, a bliska sercu kobieta, z pewnością także nie o wiele wyżej od niego stała w hierarchji społecznej, przeto oprócz polskiego języka nie znała innego, a tembardziej rosyjskiego, który nie był w owym czasie modny i ruskiego, którego brzmienie jeszcze więcej musiało być jej obce niż rosyjskiego, jako języka urzędowego. Nie musiał wiele nad tem cierpieć i Szewczenko, że z ukochaną kobietą rozmawiał po polsku. Robił to zapewne bez wielkiego przymusu, zważywszy że język polski był językiem panującej kultury i otwierał mu drogę wstępu w jej podwoje — bodaj pod względem towarzyskim jego sfery.

Kim-że była ta nieznajoma kochanka poety? Soszenko powiedział że była „Warszawianką“. Rzecz możliwa, chociaż zdaje się nie ulegać wątpliwości, że stałe mieszkała w Wilnie. Żadnych szczegółów o niej nie wiemy, a Szewczenko sam bynajmniej, pod tym względem skorym do zwierzeń nie był. Raz tylko, i to we 25 lat po pobycie w Wilnie, w roku 1857, a więc już po katastrofie swego wygnania, zapisał, że śniła mu się „luba czarnobrewka“ Dunia Hoszowska, którą widział modlącą się w kościele św. Anny w Wilnie. Czyż-by to była owa pierwsza jego kochanka? Rzecz bardzo możliwa, jeżeli zestawimy drobne szczegóły tego snu. Przede-

wszystkiem Szewczenko przez całe życie miał kult dla „czarnobrewek“; bez czarnych brwi nie pojmował piękności kobiecej. Odpowiadałoby to poniekąd owej „czarnobrewce“ wileńskiej: następnie wspomina wyraźnie Wilno i kościół św. Anny, znany z pięknej architektury gotyckiej, którą niewątpliwie niejednokrotnie podziwiał Szewczenko, obdarzony wysokim poczuciem piękna. Może chodził do tego kościoła, aby ją widzieć, a po 25 latach ujrzał znowu kochankę swojej młodości, w całej może dawnej krasie, modlącą się w tym samym kościele. Musiało to być uczucie wielkie, prawdziwe i szczerze, skoro po tylu latach obudziło się ponownie w duszy poety.

Chodzi tylko o imię — Dunia, spieszczone w języku rosyjskim od Jewdokija, ale takiego spieszczenia polski język nie ma. Być może że miała imię Tonia — Antonina — spieszczone przez poetę na Dunię.

Z tą pierwszą miłością dla kobiety, związana została tylko miłość dla Wilna. Jeszcze, blakając się nad morzem Kaspijskiem, w korespondencji z Bronisławem Zaleskim, który wcześniej od niego z wygnania wrócił, pisał, że „Wilno we wspomnieniach pozostało drogiem jego sercu“¹⁾ — chyba nie z powodu „służby lokajskiej“ u Engelhardta.

Tak więc zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że ową nieznaną nam bliżej kochanką-polką Szewczenki była właśnie Hoszowska. Nic oprócz nazwiska nie doszło więcej do naszej wiadomości. Ona przeto była pierwszą nauczycielką polskiego języka, pierwsza wprowadziła go w świat inny, nowej dla niego kultury.

Jaką ta miłość była — szczęśliwa lub nie — nie wiemy. Wyjazd do Petersburga przerwał ją gwałtownie. Nie ponosił chyba żadnych „ofiar“ Szewczenko, jak utrzymuje Czałyj, rozmawiając z ukochaną kobietą po polsku, gdyż ta wrzekomo ofiara otworzyła pocie drogę do poznania najwybitniejszych przedstawicieli ówczesnej literatury polskiej — Mickiewicza, Libelta, Zaleskiego, Sawy i in.

Mówiąc o swojej przeszłości i kochaniu, Szewczenko glucho wyraził się, że „ono go otruło.“ Co by to miało za znaczenie? Trudno dziś rozplątać tę zagadkę psychologiczną. Czy trucizną było oddalenie się przymusowe od kochanki, które mu przyniosło wiele zgryzot moralnych. Może. Czy to była miłość, jedna z tych wrzających i bujnych, które czerpią rozkosz we wzajemnem szamotaniu się, w nieuchwytnych przyczynach sporów i cierpień i w równie nieuchwytnych przyczynach wstrząśnień — amoroso? Może.

¹⁾ Z ustnych relacji współczesnych ludzi i uczniów Czałego i Soszenki.

¹⁾ „Wilno także dorogo po wspomnianiam mojemu serdca, kak i twojemu“. (Piśma T. G. Szewczenka k Bron. Zaleskomu. Kijew 1893, str. 33.)

Zagadkę tę do rozwiązania pozostawiamy psychologom — specjalistom nowożytnej miłości, którzy z nieporównaną cierpliwością papieru i czytelnika przez całe tomy analizują pytanie: kocha czy nie kocha i umieją godzić ze sobą trzy miłości naraz, następujące po sobie z niezrównaną szybkością ku uciesze bardzo młodych czytelniczek.

II.

Po tej pierwszej miłości długo musiał czekać Szewczenko, aż los go znowu zetknie z Polakami, ale już w innej sferze i innego ducha niż panował w otoczeniu Engelhardta.

Nowicjat artystyczny w stolicy Piotrowej był bardzo ciężki dla przyszłego poety. Na nieszczęście swoje dał się on poznać za upodobaniem do malarstwa i rysunku bardzo wcześnie. Niemiecki szlachcic o zakroju rosyjskiego „barina“, wypróbował jego zdolności na robieniu różnych portretów, a pragnąc zdolnego młodzieńca usposobić na przyszłego rzemieślnika dla siebie, bezpłatnie pracującego „za pańszczyzną“, oddał go na naukę do malarza pokojowego, prawdziwego Rosjanina. Idąc po stopniach, których tu śledzić nie będziemy, doszedł nareszcie Szewczenko do Akademii sztuk pięknych i ukończył ją. Urzędowo, że tak powiem, zajmował się malarstwem, a pokryjomo — poezją. Rozmaici „zemlaki“ Szewczenka, bliżcy i dalsi, którzy na bruku stolicy szukali albo chleba w przyszłości, albo w twardy sposób dla nas Polaków, dosługiwali się orderów, wysokich urzędów i dostojenstw, odnaleźli Szewczenkę, poznali się — za chwałę im to przyznać trzeba — na wielkim talencie młodego poety-samouka i zetknęli go ze światem czytelników. Była to grupa osobliwego rodzaju patriotów i charakterów. Głośno przyznawali się do narodowości rosyjskiej, pełnili gorliwie służbę rosyjskich urzędników, często zbyt gorliwie, a potajemnie pielegnowali patriotyzm „hałaszek i warenkiw s salom“ (gatunek wielkich klusek i pierogów ze słoniną) jak się wyraził o nich jeden z rosyjskich pisarzy. W domu mówili po rosyjsku i dzieci wychowywali w tym duchu, a największą zasługą swoją poczytywali — nienawidzić Polaków głośno i przy każdej sposobności. Taki duch panował pod posągami Piotra I. i Katarzyny II. W najdalszych promieniach obu stolic pielegnowano ten duch bardzo troskliwie w polityce, w szkole, w literaturze. Była to nienawiść i walka tatarskiej kultury, powleczonej zewnątrz francuszczyzną, zachodnią cywilizacją i ubraną w angielski surdut, z duchem kultury zachodniej, która przez Polskę od „zgniętego zachodu“ wciskała się gwałtownie do zabagnionego i cuchnącego państwa — wielkiej Rosji. Swoistą tę kulturę gorąco i urzędowo

podtrzymywali owocnie „Małorossy“, azerząc ją namiętnie przy pomocy wysokich łapanazów i pensji, wypłacanych przez „Wielkorosów“ zwolennikom zniszczenia „polskiej intrygi“. A dziwnym zjawiskiem była ta polska intryga: państwo polskie nie istniało, wszelkie ślady samodzielności zniszczone, szkoły obsadzone przez ludzi „pewnych i lojalnych“, cenzura z piórem i czerwonym atramentem kontrolowała każdą myśl polską, a jednak — intryga polaka istniała. Nikt jej nie widział, nikt jej namacalnie nie dotknął, nikt nie umiał określić jasno na czym ona polegała, a jednak ona istniała w prasie, w polityce, a co ważniejsza ciągle nią straszono potężną rozmiarami Rosję. Ta nieuchwytna intryga miała w polskim języku bardzo proste nazwisko — miłość Ojczyzny. W ustach tamtoczesnego społeczeństwa sam wyraz Ojczyzna był ośmieszony. Było to coś w rodzaju balonika czerwonego, którym się bawią — stare dzieci: on bardzo ładnie wygląda, ale wewnątrz — pusty.

Przeszłość nasza w oczach Wielko i Małorossów, żywiących się przy jednym źłobie, była czemś okropnem: przepelniona zbrodniami w obec dzielnych kozaków, których dopiero Chmielnicki z „niewoli lackiej“ uwolnił i uszczęśliwił w objęciach Rosji. Osobliwie opiekowano się Małorosją. Cała prasa i literatura rosyjska zawsze stawała w jej obronie — w przeszłości, bo w terażniejszości smagał jeden bicz i Polaków i Małorossów.

Na tle takiego nastroju istniała słynna z fantazji historycznych *Historja Russów*, niby-to pióra równie słynnego Koniskiego. W owym czasie nie ukazała się jeszcze w druku ta wspaniała księga polskich zbrodni, ale tak się podobała patriotom rosyjsko-małoruskim, że w niezliczonych odpisach krążyła po całej lewobrzeżnej Ukrainie. Prawa strona tej Ukrainy, od paktów Andruszowskich zwana polską, wolną była od tej książeczki. Za wielu tu było Polaków, którzy mogli zaprzeczyć fałszom.

Petersburgscy „Małorossi“ także w *Historji Russów* kochali się, duchem jej żyli i chętnie tym duchem obdarzali naiwnych. Jeżeli nie zupełnie, to w znacznej mierze, w atmosferze ducha Koniskiego, „zemlaki“ wychowywali młodego Szewczenkę.¹⁾

Pierwszy okres twórczości poety był wolny od tej narości rosyjsko-małoruskiego patriotyzmu. Młode, dzielne, gorące i szlachetne serce poety nie od razu brało na serjo banialuki Koniskiego. Nic dziwnego. Serce to, wychowane w ciężkich warunkach pańszczyzny, nie tyle pod względem ekonomicznym ile

¹⁾ *Historja o autoratwie Historji Russów — czytaj: Al. Łazarewskij: Otrywki iz siemiejnaha archiwa Poletik. Kijew. Starina 1891. Kwieczeń.*

moralnym, czujące na swojej twarzy uderzenie ręki niemiecko-rosyjskiego „barina“, poniewierane, męczone niedolą własną i cudzą, czujne było na każdy dźwięk krzywdy nie urojonej ale rzeczywistej. Upokorzenie moralne, w jakim żył cały ruski naród pod opieką „wostocznego cara“ było pierwszym zrozumieniem, pierwszym drgnieniem patriotycznym przyszłego poety. To też bohaterem w Katerynie wcale nie był Polak, ale żołdak moskiewski. To, co możnaby nazwać poczuciem patriotycznym w poezji Szewczenka, przypada prawie całkowicie na późniejszy okres twórczości. Wszystko, co tchnęło nienawiścią do Lachów, odpowiadało urzędowemu nastrojowi ruskiego społeczeństwa, a raczej tej jego części, która stanowiła ówczesną rosyjsko-ruską inteligencję. To też tematy historyczne poetyckich utworów Szewczenki przedewszystkiem miały bardzo przychylny odgłos za Dnieprem, nie wyłączając i „Kubańców“, tych rozbitków Siczy, którzy przytułek dla siebie znaleźli pod szczytami Kaukazu. Były to tematy przeważnie polsko-ruskie. Walk i niedoli ruskiego społeczeństwa w Ukrainie moskiewskiej — tak nazywano po traktacie Andruszowskim lewobrzeżną Ukrainę — w owym czasie Szewczenko prawie nie dotykał.

Pierwszy zbiorek jego poezji pod tytułem „Kobzar“ wyszedł w r. 1840. Szewczenko, jako ukończony uczeń Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, przyjechał na Ukrainę poprzedzony już sławą, nie tyle malarza ile poety.

Nie mamy zamiaru pisania bodaj najmniejszego szkicu biograficznego Szewczenki, ale musimy dotykać tych sfer, tych warunków życia, które wpływały na rozwój jego talentu i charakter jego, które były poniekąd psychologicznymi etapami w rozwoju umysłowości poety, wpływając, nieraz bardzo znacząco, na zmianę jego przekonań i na poznanie najwykształcniejszej warstwy własnego społeczeństwa.

Takiego zgrupowania, któreby można nazwać mniej lub więcej narodowo wykształconem społeczeństwem ruskiem na prawobrzeżnej Ukrainie nie było wcale. Jedyne drobna cząstka urzędników, do których możnaby przystosować ten tytuł, siedziała cicho jak mysz pod miotłą, nie popisując się bynajmniej ze swoim małoruskim patriotyzmem — tak było to rzeczą niebezpieczną. Inaczej się działo na lewym

brzegu Dniepru: tam istniała, po za urzędnikami, liczna nader warstwa zamożnych właścicieli ziemskich — Genłagany, Koczubeje, Hanaki, Hohole, Lizohuby i wiele innych potomków niegdyś starszynny kozackiej, która z czasem przeobraziła się w „pomieszczyków“ rosyjskich, hodowanych już w rosyjskiej szkole, na tle rosyjskiej polityki, w rosyjskim duchu i kształconych wpływem rosyjskiej kultury. Pod względem towarzyskim byli to Rosjanie bez skazy, nie różniący się niczem od arystokracji rosyjskiej — jak dom X. X. Repninów i in.

Tak wyglądało z wierzchu to towarzystwo, ta sfera, w której znalazł się Szewczenko. Fizjognomja moralna, duchowa tej sfery bardzo była różną od jej, że tak powiem, salonowego wyglądu. Bezbrzeżne próżniactwo, bezcelowość i bezmyślność życia wytworzyły w tem społeczeństwie dwa prądy: górny, gdzie się bawiono, m. w. po europejsku, rozmawiano o polityce po francusku, tańczono na zabój i upijano się szampanem. Panowała tu gościnność szeroka, płynąca z dostatku i bogactwa, na to pracował chłop ruski. Drugi prąd reprezentowało średnie obywatelstwo, które, acz było ruskiem z krwi i pochodzenia, było rosyjskiem z kultury tak samo jak arystokracja rosyjska, z którą się łącono dla zabawy. Ale na dnie tej drugiej warstwy tkwiły jednak pewne okruszyny pojęć o odrębności narodowej, które, chociaż nigdy nie manifestowały się żadnym protestem przeciwko panowaniu despotyzmu rosyjskiego, sięgającego wpływem swoim aż do domu, aż do rodziny, niepozabawione jednak były sympatji narodowych ruskich. Nic w tej sferze nie robiono dla literatury ruskiej, ale po za urzędowym niejako językiem rosyjskim nawet w domu, chętnie czytywano to, co w bardzo miniaturowym zakresie produkowała literatura małoruska. Ta sfera, ta warstwa powitała Szewczenka entuzjastycznie. I słusznie. Po za Kwitkami, Hulałkami etc. był to pierwszy człowiek, pierwszy poeta, który do literatury ruskiej wprowadził narzecze ludowe, i z niesłychaną dotychczas potęgą uczucia, przemówił o przeszłości słowem pełnem siły, obrazowości i muzyki. Nikt nie pytał o prawdę historyczną w poezji, ale zachwycał się wspaniałością obrazów, potęgą liryki i głęboką intuicją poetycką — szczególnie w utworach o temacie historycznym.

JULJUSZ TENNER

O MUZYCE WIERSZA

DIALOG.

II.

Andrzej: Inny przykład.

Proszę mi podać „Pana Tadeusza”. Oto księga XII. Raczy Pani z łaski swojej przeczytać ten oto ustęp...

Marja (czyta):

Brzmi Polonez Trzeciego Maja! Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją;
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejaciu nie dostoją,
Lecz starców myśli w zgiełkiem w przeszłość się uniosły.

W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły,
Po dniu trzeciego Maja, w ratuszowej sali,
Zgodzonego z narodem króla fetowali;
Gdy przy tańcu śpiewano: Wiwat Król kochany!
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany:

Niech mnie Pan nie wyśmieje. Nie umiem deklamować.

Andrzej: Bardzo się z tego cieszę. „Deklamować” znaczy kłamać. Wprawdzie słuchamy tych kłamek nieraz ze sceny lub z estrady. Czytając na głos lub wygłaszając z pamięci wiersze Mickiewicza, jak każdego prawdziwego poety, dążyć natomiast musimy do prawdy i prostoty. Przeczytała Pani te wiersze inteligentnie i poprawnie, jak wykazałoby się, ale nie odtworzyła Pani stanu duszy poety, uczucia między wierszami ukrytego, a w szczególności kontrastu uczuciowego, jakie zawierają.

Marja: Kontrastu?!

Andrzej: Nie inaczej. Proszę posłuchać i oszczędzić. (Czyta ponownie na głos powyżej przytoczone wiersze).

Marja (po chwili): Kontrast jest istotnie uderzający. W pierwszych trzech wierszach słyszałam dyszącą ochotą tancerzną radość młodzieży, żyjącej tylko uciechą chwili teraźniejszej; w dalszych natomiast ogarnął mnie brzemienisty smutkiem i boleścią nastrojów starców, w których umyśle dźwięki poloneza wyzwołyły pamięć szczęśliwej przeszłości. Nie wpadło mi to na myśl, a po za tem nie potrafiłabym wcale odtworzyć tego kontrastu głosem w tak przekonujący sposób, jak Pan to uczynił.

Andrzej: Nie zdala też sobie Pani przedewszystkiem sprawy z tego, że te radosne wiwaty, ta entuzjastyczna owacja narodu dla wielkodusznych swoich przedstawicieli, którzy w chwili najgroźniejszego niebezpieczeństwa dla Ojczyzny, rozkuli mu wiekowe pęta, obdarzając go najdroższym skarbem człowieka: wolnością — do przeszłości należą. Bolesnym zaś kontrastem z dobą obecną wywołują wspomnienia tych czasów uczucie smutku i żalu, bo wszak nie ma już dziś ani tego króla kochanego, ani tych posłów i senatorów, co go z taką radością fetowali. „Nessun maggior dolore che ricordarsi del tempo felice nella miseria”. — Nic bardziej nie boli, jak o chwilach szczęśliwych wspominać w niedoli — powiada wielki poeta włoski. I tym żalem, przepelniającym dusze starców, nadbrzmiewa barwa dźwiękowa głosu naszego w odtworzeniu tego ustępu. Pierwiastek chromatyczny jest tu bezpośrednim i jedynym wyrazem uczucia — tylko barwa dźwiękowa głosu zdola to pod powłoką radosnych słów ukryte uczucie żalu wydobyć na jaw. Nie odkryje go ten, co tylko po wierzchu słów błądzi, a nie zgłębi ich do dna, nie zajrzy słowom w duszę, jak mówi Stowacki.

Marja: Pojmuję najzupełniej. A akoro twórca pierwiastków emocjonalnych jest poeta, to on, i tylko on, jest zarazem kompozytorem także muzyki żywego słowa. I dalej: akoro pierwiastek chromatyczny głosu jest bezpośrednim wyrazem uczucia poety, to jasną jest rzeczą, że poeta wraz z tym uczuciem i wyraz jego muzyczny zaklął w swoich wierszach. Artysta, który stojąc pod nieodpornym przymusem analizy treści, zgłębił jej uczucie, odtworzy także odpowiednią mu muzykę w dźwiękach żywego słowa.

Andrzej: Doskonale! — Ścisły i nierozwalny ten związek między uczuciem poety a objawieniem jego muzycznym, wykazać można na niezliczonej ilości przykładów z poezji wszystkich ludów. Śmiem jednak twierdzić, że poezja polska doby porobiorowej przewyższa bogactwem swoim muzycznym każdą inną poezję narodową, co łatwo zrozumieć, jeśli się zwąży, że żaden inny naród w poezji swej nie zamknął tylu wzruszeń, tyle bólu i żalu, co właśnie naród polski. Pozwól mi Pani okazać Ci jeszcze kilka klejnotów z bogatej skarbnicy twórczości Mickiewicza.

Marja: Słucham Pana.

Andrzej: Przedewszystkiem, znany erotyk młodego poety do Maryli: Precz z moich oczu! Oto analiza pierwszej zwrotki.

Czuję — zwraca się poeta w cichym monologu do zimnej swej bogdanki — że niedaleką jest chwila, w której usłyszysz twój rozkaz:

Precz z moich oczu!..

Nie myśl, że będę próbował oporu. Jestem Ci tak niewolniczo oddany, tak wobec Ciebie własnej pozbawiony woli, że w pokorze ducha rozkazu Twego

posłucham odrazu.

To ci nie wystarczy. Gdzieś tam, na dzień Twego serca, jest maly zajęty jeszcze przezemnie kącik. I tam maie nie ścierpisz, i stamtąd wypędzisz mnie rozkazem:

Precz z mego serca!..

Nauczyłaś mnie skromności. Wiem, że w nieczulem Twojem sercu żaden głos za mną nie przemówi, że więc i serce posłucha.

Ale i na tem nie koniec. Zapomniał, by i w umyśle Twoim wszelki po mnie zaginął ślad. Padnie więc trzeci Twój rozkaz:

Precz z mej pamięci!..

Lecz tutaj krea Twojej władzy! Przebrałaś miarę. Posłuchałem ja pierwszego rozkazu, posłuchałaś Ty drugiego, ale trzeciego rozkazu oboje nie posłuchamy.

Niel tego rozkazu.

Moja i Twoja pamięć nie posłuchał

Marja: Co za przedziwna charakterystyka psychiki obojga kochanków w czterech krótkich wierszach. Maryla, zimna, dumna, bezlitosna dziewczyna, co nie tylko sama nie kocha, ale nie chce nawet być kochana, znaczy w trzech rozkazach trzy stopnie swego okrucieństwa. Psychika Adama przebija się wyraźnie w trzech odpowiedziach: w pierwszej — wolnicza pokora, w drugiej wzruszająca skromność, w trzeciej ekspiacja poprzednich upokorzeń i tryumf nad nieczulą kochanką, smutny tryumf, ale tryumf! I cały ten złożony proces psychiczny, wymagający tak subtelnego zrozumienia i tak gruntownego zgłębienia, odzwierciedla artystycznie wyszkolony głos ludzki w muzyce wiersza, odtwarzając wiernie i bezwzględnie, dla każdego słuchacza zrozumiale, najdrobniejsze zmiany emocjonalne przez laniącą się tętową wstęgą barw dźwiękowych głosu.

Andrzej: Jedno tylko ważne zastrzeżenie. Charakter Maryli, jaki się w trzech rozkazach objawia, nie jest rzeczywistym jej charakterem. Ona sama nigdy tych słów nie wypowiedziała. Całą tę rozmowę wyimaginował sobie w chwili zwątpienia i rozpaczę poety. Jaką była Maryla w rzeczywistości, o tem się z wierszy Mickiewicza wcale nie dowiadujemy; wiemy z nich tylko, jaką ją sobie poeta w chwili tworzenia swej poezji wyobrażał. Trzy jej rozkazy są więc echem tylko — nie rzeczywistych, ale w gorączce marzenia urojonych słów kochanki. I dlatego w odtworzeniu mojem dźwiękowym starałem się to uwydatnić, starałem się, ażeby ich wygłoszenie przypominało stary gobelin, z którego wyblakły kolory, ale zachował się rysunek, ażeby robiło wrażenie z daleka słyszanej muzyki.

Marja: Czy mogę Pana prosić o wygłoszenie tej drugiej zwrotki raz jeszcze. Chciałabym wsłuchując się uważnie w pierwiastki chromatyczne muzyki wierzać, sprawdzić, jak ściśle są związane z równoważnikami swoimi psychicznymi.

Andrzej: Proszę posłuchać:

Precz z moich oczu!... posłucham odrazu;
Precz z mego serca!... i serce postucha;
Precz z mej pamięci!... niełoga tego rozkazu
Moja i Twoja pamięć nie postucha!

Marja: Zgodność walorów emocjonalnych z odpowiednikami ich dźwiękowymi jest istotnie zadziwiająca.

Andrzej: Co za mistrzostwo przytem w zwzięłości wyślowienia: w czterech wierszach sześć motywów uczuciowych, przewijających się na tle zasadniczego tematu psychicznego, gorącej miłości młodzieńczej poety.

Jeszcze jedno. Dawniej badania form poetyckich ograniczały się do obserwacji wzrokowej, do analizy martwej litery wiersza drukowanego. Nowa nauka, t. zw. FILOLOGJA SŁUCHOWA, zajmuje się natomiast badaniem form dźwiękowych wiersza na podstawie bezpośredniej obserwacji wiersza mówionego, a zatem tylko przez ucho. Naczelną zasadą tej nauki stanowi prawo, że analizując formę, nie wolno nam ani na chwilę zapominać o treści, bo nie martwymi schematami operować należy, jeno żywymi członami dzieła sztuki. Ażeby zgłębić do dna formę dźwiękową poezji, poznać musimy wszystkie psychiczne zarówno jak fizyczne czynniki, współdziałające przy wytworzeniu charakteru artystycznego wiersza, ustalić musimy związek i oddziaływanie ich wzajemne, stosunek ich między sobą i do całości. I tu się pokazało, że droga prowadząca do analizy optycznego widma poezji, do badań pełnych dźwięków postaci akustycznej wiersza, jaka się objawia w poprawnym i artystycznym jego wygłoszeniu, od szkieletu schematycznego akandowania i statystyki cyfrowej, do drgających żywym tętnem dźwięków mowy i objawienia kwitnącego organizmu żywego dzieła sztuki; — to droga długa i zmudna. Ale już po pierwszych na niej krokach, odsłaniają się nowe i szerokie horyzonty. Pokazuje się, że wiersz poetycki, tak sucho i schematycznie przez dawną metrykę szkolną rozpatrywany, to zjawisko pełne tajemniczego uroku, podobne do owych bujnych i pięknych kwiatów RYMARKIEWICZA, co nas odrazu barwą swą zachwycają i wonią odurzają, choć sobie jeszcze z źródeł tych rozkoszy nie zdajemy na razie sprawy.

Czy mogłoby Pani okazać jeszcze parę takich kwiatów?

Marja: Proszę Pana bardzo o to.

Andrzej: Przypominam Pani „Stepy Akermaniańskie” z cyklu „Sonetów krymańskich” MICKIEWICZA.

Marja: Pamiętam doskonale.

Andrzej: Poeta jedzie wozem przez step i patrzy na przesuwające się przed jego okiem cudowne obrazy panoramy pustynnej. Bezpośrednio odbierane wrażenia przyrody wywołują cichy monolog, tok myśli, odbity w słowach sonetu. Ale nie o te wrażenia, ani o wyraz ich słowny tu idzie. Słowa same, martwe znaki konwencjonalne, są tu wprawdzie odbiciem jaśnego pojęcia rzeczy, ale zaciemniają zarazem ich istotę: stan duszy poety. Zupełnie niezawiele od słów i logicznej ich wartości, odtworzy nam barwa dźwiękowa głosu ową wewnętrzną istotę rzeczy, co, nieuchwytna jak wół kwiatu i bezcielesna jak kolor błękitu, po nad słowami się unosi.

Mistrzostwo poety objawia się w przekładni stanu duszy na obraz przyrody. Przekładnią taką posługuje się nieraz i SŁOWACKI: „Smutno mi Boże!” „W Szwajcaryi”, „Anelli”. Pozwól mi Pani przeczytać Jej, co o tem mówi jeden z wspaniałych poetów niemieckich, subtelny HOFMANSTHAL, który Mickiewicza i Słowackiego zna zaledwie z nazwiska.

„Czy nie uważasz, że uczucia nasze, półuczucia, wszystkie najtajniejsze i najgłębsze stany naszej duszy, w najdziwniejszy sposób spletają się z jakimś krajobrazem, z jakąś porą roku, z atmosferą, z tchnieniem wiatru? Ruch, który wykonujesz ześkakując z wysokiego wozu; duszna bezgwiezdna noc letnia; woń wilgotnych kamieni w krążanku zamkowym; mróz, przesywający Twe ręce, o które bije prąd wody studziennej; z tyśnięciem podobnych rzeczy ziemskich wiąże się całe Twoje wewnętrzne dziedzictwo, wszystkie Twoje wzloty, wszystkie Twoja tęsknota, wszystkie Twoje upojenia. Więcej niż wiąże: wraść w nie korzeniami żywota, tak, że — gdybyś je nożem wyciął z tego podłoża, to by Ci się skurczyły i na nic w rękach rozwały. Jeśli chcemy odnaleźć siebie samych, nie wolno nam zstępować do naszego wnętrza: po za nami odnaleźć nas można, po za nami. Jak tęcza bezcielesna roztacza się nasza dusza nad niepowpatrzonym biegiem bytu. Nie posiadamy samych siebie: nasze „ja” owiewa nas z zewnątrz, ucieka od nas na długo, by wrócić do nas za lada powiewem. Chociaż: masze ja! Wyraz ten jest taką metaforą. Porywy wracają, które się już dawniej kiedyś tutaj gnieździły. Ale czyż to rzeczywiście one same wracają? Czy nie są to raczej dalsze ich tylko wytwory, które głucha jakaś nostalgia napowrót tu zagnała? Słowem, że coś wróciło. I coś się w nas spotyka z czemś innym, Nie więcej jesteśmy, niż gołębnik”.

Otóż i w „Stepach Akermaniańskich”, smutny, w urocznej ciszy zaklęty, ale bujny, barwny i bogaty obraz pustyni jest symbolem stanu duszy poety, przedziwnie z nim szarmonizowanym, wygnańca z kraju, tułacza na obczyźnie, trawi wszędzie i nieustannie gorączka tęsknoty za ojczyzną. Nastroj to zupełnie podobny do znanego z doby późniejszej: „ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił!” „Smutek duszy ludzkiej i smutek przyrody osobiłiwa tu tworzą syntezę. Wchłaniając w siebie obrazy przyrody doznaje wrażliwa dusza poety niezmiernej rozkoszy, spotęgowanej ową harmonijną jednością, łączącą własne jego uczucia z nastrojem przyrody, „nalewa wszystko — jak mówi SŁOWACKI — jednym kolorem”. U człowieka, co w sercu kryje wielki jakiś żal, nawet chwilowa, przemijająca rozkosz lub przyjemność smętnym objawi się uśmiechem. Takie to „melancholijne na świat spojrzenie”, taki „smętny uśmiech” okrasza usta poety, kiedy zdaje sobie sprawę z wrażeń odbieranych podczas podróży stepowej i przenosi się na usta mówiącego jego wiersze, odwierciedli wiernie najosobliwsze uczucia poety w tajemniczej godzinie cudów, przeżytej na stepie, w barwie dźwiękowej głosu reprodutora. Cały czar i urok tej poezji tkwi tylko i wyłącznie w odtworzeniu owego nastroju, leży więc zgola po za wyrazem jego słownym, po za

opisem zjawisk przyrody, jako takich, po za wrażeniem przez nie wywołanych.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nuża się w zieloność i jak łódka brodzi;
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi
Omijam koralowe ostrowy burzaniu.

Już zmrok zapada: nigdzie drogi ni kurhanu.
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek lodzi.
Tam zdala błyszczą oblok? tam jutrzecna wachodzi?
To błyszczą Dniestr, to weszła lampa Akermanu.

Po szeregu pozytywnych wrażeń wzkrokowych następuje wrażenie słuchowe, negatywne, którego uświadomienie dłuższego wymaga czasu: wrażenie ciszej stepowej. Poeta zatrzymuje wóz, ażeby lepiej wchłonąć w siebie to wrażenie. Dotychczasowy cichy monolog przerywa głośny rozkaz, wprost do woźnicy skierowany:

Stójmy! Jak cicho! — Słyszę ciągnące żorawie,
którychby nie dościgły źrenice sokola;
Słyszę kędy się motyl kołysa na trawie,
Kędy wąż ślizką pierśią dotyka się ziola.

Podniecona wyobraźnia wytwarza halucynację najsubtelniejszych, w rzeczywistości zgola niedoświadczalnych wrażeń akustycznych, jak daleki lot żorawi, bujanie motyla, pękanie węża.

Trzy halucynacje akustyczne wywołują w wrażliwym umyśle poety osobliwe skojarzenie myśli. Jeżeli tak nieuchwytnie słuchem ludzkim szmery doślyszal, to dlaczegożby nie miał słyszeć także... odgłosów z ojczyzny idących? Długo pod wrażeniem przeżytych rozkoszy tłumiona tęsknota za nią, wychyla się nagle z po za progę świadomości i wybuchu żywiołowym płomieniem. Zapomina poeta, że tysiąc mil dzieli go od ojczyzny, a gorące życzenie rodzi wiarę w możliwość takiego urojenia. Wyailek się potęguje, nadzieja nagłym przeblyskiem tej myśli zrodzona, ożywia i unosi poetę, rozpromienia mu twarz i rozjaśnia glos:

W takiej ciszy — tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy. Jedźmy, nikt nie woła!

Napężenie radosnego oczekiwania przysaka jak bańka mydlana i ustępuje miejsca gorzkemu rozczarowaniu. Nadzieja zawiodła. Nie ozwał się upragniony głos z Litwy. Radosne oczekiwanie ustępuje miejsca bolesnemu zawodowi. W ostatnich słowach ostry i niezwykły kontrast treści logicznej z uczuciem. Treść zawiera suchy rozkaz do dalszej jazdy, dany woźnicy. Ale rozkaz ten brzmi zupełnie odmiennie, niż poprzedni: „Stójmy!” Wyraz „jedźmy” jest tylko bezwiednym mechanicznym odruchem i, wyszeptany przed siebie, nie osiąga może wcale uszów woźnicy. Napęczenie psychiczne poety dochodzi jednak tutaj do zenitu, do fizycznego niemal bólu, o jakim w słowach samych śladu nawet nie ma. Żal i tęsknota za ukochaną ojczyzną kojarzą się tu z boleścią doznanego w tej chwili rozczarowania, zawiedzionej nadziei. I w barwie dźwiękowej tych wyrazów drga ten zawód, to rozczarowanie, ten żal, ten fizyczny formalnie ból; — tylko w barwie, treści słów zgola co innego głosi. Ogniako uczucia leży po za słowami, po za przedmiotowem, logicznem ich znaczeniem, po za krawcami widnokręgów ich myślowych. Na słowach zimnych i obojętnych, jak na kanwie, haftuje rysunek nabrzmiała żarem uczucia barwa dźwiękowa głosu: Jedźmy, nikt nie woła!

Marja: Cudownie! doprawdy cudownie! Nigdy nie odczuwałam piękności tego sonetu tak silnie, jak w tej chwili! Jaka szczerłość i prostota w odwołaniu najgłębszych tajni duszy!

Andrzej: Cudowną jest rzeczą — powiada HOFMANSTHAL — jak ustrój naszego jestestwa aprzyja poezji: bo oto miał w ciamej komóreczce naszego serca, wolno jej zamieszkać w całej niezmierzonej niezgłębionej naturze! I z wszystkich swych przemian, z wszystkich swych przygód, z wszystkich przepaści i wszystkich ogrodów, nic innego nie przynosi, krom drżącego powiewu ludzkich uczuć. — A niemniej i to co Hofmansthal mówi o poezji GOETHEGO daje się w zupełności zastosować do MICKIEWICZA. Poezje Goethego — powiada — są czasem jak te ciemne głębokie studnie, przez których zwierciadło przemokają cienie, niedostrzegalne dla oczu patrzących w górę, dla nikogo w świecie niewidoczne, krom dla tego, co się schyli w dół ku głębokim ciemnym wodom życia.

Andrzej: Czuję, że nadużywam cierpliwości Pani, ale nie mogę sobie odmówić przyjemności i nie dołączyć do poprzednich przykładów jeszcze jednego osobliwie charakterystycznego przykładu z poezji Mickiewicza.

Marja: Zastrzeżenia Pańskie wyrządzają mi krzywdę, gdyż słucham Pana z niesłabnącą ciekawością.

Andrzej: Przykład ten jest dlatego osobliwy, bo wykazuje, jak dokładnej i sumiennej analizie potrzeba, ażeby ustalić podkład psychiczny i związaną z nim barwę dźwiękową jednego chociażby wyrazu. Mam na myśli wyraz „Samotność”, rozpoczynający improwizację Konrada.

Ażeby odnaleźć odcień emocjonalny barwy dźwiękowej głosu, będący równoważnikiem stanu duszy Konrada w chwili rozpoczęcia improwizacji, musimy przedewszystkiem zdać sobie sprawę z tego, co się działo przed tym początkiem i co po nim nastąpi.

Marja: Oto Część trzecia „Dziadów”.

Andrzej (otwiera książkę): W acenie Improwizację poprzedzającej zbierają się w wigilię Bożego Narodzenia o północy towarzysze więzienni w celi Konrada. Przy słabym blasku świecy, dokładają ognia w kominie i prowadzą żywą serdeczną pogawędkę, wymianę wzajemnych przeżyć i wspomnień. Brat więzienna żąda od Feliksa weselości i śpiewu, by nie dopuścić do rozrzewnienia, i chociaż serce pęka

Feliks będzie wesoly i będzie piosenka.

Konrad zrazu cichy i zaszepiony — jakby obliczał grzechy do spowiedzi (mówi Suzin) — nie słucha wcale śpiewu, potem czerwieni się na przemian i błędnie. Feliks uspokaja zatrwożonych jego zachowaniem towarzyszy.

Północ jedna godzina. — Teraz Feliks niemy,
Teraz, bracia, piosenkę lepszą pošyżemy.

Frejent próbuje na flecie różnych melodji, Konrad poczyna w wysokim napięciu, w pół nieprzytomny, z płomieniami w oku, śpiewać pieśń o bluźnierczym refrenie:

Tak! zemsta, zemsta na wroga,
Z Bogiem — i choćby mimo Boga!

Po kilku zwrotkach bracia przerywają „pieśń pogańska, pieśń szatańska”, lecz Konrad w najwyższej ekstazie — „jak on okropnie patrzy!”... stwierdza kapral-dozorca) — śpiewa dalej z wtórem podążającego za nim z trudnością fletu Frejenta. Ale nuta zmieniona. Ścisłe szeregi rytmiczne poprzednich zwrotek ustępują miejsca wolnym rytmom, naginającym się swobodnie do wyrazu uczucia, rytmem późniejszym „improwizacji”. Jest to jakby przygrywka do niej, ekstaza jasnowidzenia:

Wznoszę się! lecę! tam, na szczyt opoki —
Już nad pleniem człowieka,
Między proroki.

Stąd ja przyszłości brudne obłoki
Rozcinam moją zrenicą jak mieczem:
Rękami jak wichrami mgły jej rozdzieram —
Już widno — jasno — z góry na ludy spojieram —
Tam księga sybilliska przyszłych losów świata —
Tam, na dole!

Odzywa się po raz pierwszy obłędne przeświadczenie
o własnej wielkości:

Patrz, patrz, przyszłe wypadki i następne lata,
Jak drobne ptaki, gdy orla spozstrzegą.
Mnie, orla na niebie!

Towarzysze przerywają nakoniec wzrastającą coraz bardziej ekstazę. Porywają bladego, na pół nieprzytomnego Konrada, starają się go upokoić, Konrad się wydziera:

Stójcie — myśli rozplączę...
Pieśń skończę — skończę...

Ale bracia nie pozwalają mu skończyć, powtarzając chórem rozkaz współwielżnia ka. Lwowicza:

„Dość tej pieśni“!

W tej chwili daje się słyszeć runt pod bramą, towarzysze gaszą szybko ogień i wybiegają, każdy do siebie.

Konrad zostaje sam, sam jeden w celi.

Po gwarliwym zgielku nastala w celi grobowa cisza. I w duszy Konrada ta sama zmiana: po gwałtownym uniesieniu — głęboka zaduma.

Taki jest przebieg akcji poprzedzającej Improwizację.

W Improwizacji samej rozpoznać należy przedewszystkiem trzy motywy główne, które się w duszy Konrada łączą i wzajemnie potęgują, a mianowicie:

Po pierwsze: Miłość ojczyzny („*Ja kocham całą naród!*“);
Po drugie: Ból z powodu męczeństwa narodu („*Czuję całego cierpienia narodu!*“);

Po trzecie: Obłęd wielkości, poczucie tak wielkiej siły wewnętrznej, że Konrad ośmiela się mierzyć ją z potęgą Stwórcy („*Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę — Cóż Ty większego mogłeś zrobić Boże?*“)

Wszystkie te trzy prądy zlewają się w jeden strumień, ogniakują się w okrzyku:

Ja i ojczyzna, to jedno;
Nazywam się Miljon — bo za miliony
Kocham i cierpię katusze...

Słowa te, ośrodek panujący całej Improwizacji, odsłaniają nam najtajniejsze zakątki duszy Konrada. I zrozumiemy, że kto chce mieć władzę, jaką Bóg posiada, kto chce duszami władać, jak Bóg niemi włada, kto w dumie swej wyniosłej czuje się wart, ażeby Bóg z nim władzą dzielił się na polu; — ten zawsze po samotnych szlakach kroczy, bo tylko takie prowadzą na szczyt. Samotność, udręczenie dla malodusznych, staje się

dla Konrada cudotwórczym źródłem, z którego się rodzi wspaniała Pieśń nad pieśniami o miłości ojczyzny.

Otóż ilekroć wydarzyło mi się — czy z sceny czy z estrady — słuchać wygłoszenia „Improwizacji“, tylekroć sposobów wypowiedzenia pierwszego wyrazu „Samotność“ był mniej więcej jednaki. Mam jeszcze w uchu ten ponury ton smutku, te oczy pełne melancholij, tę barwę dźwiękową bezbrzeżnego bólu, obciążającego rzekłbyś ołowiem pierwszy wyraz monologu Konrada. Czy można jednak przypuścić, że w chwili, kiedy zgielkowi towarzysze, nie rozumiejący jego pieśni, depcący po najdelikatniejszym kwieciu jego uczuć, opuszczają Konrada; w chwili, kiedy nadeszła nareszcie upragniona godzina cudów, w której Konrad może „sam śpiewać w sobie, śpiewać samemu sobie“; czy można przypuścić, pytam, żeby w tej to właśnie chwili dusza Konrada przepelniona była smutkiem i bólem? Czy potrzeba dowodu, że wręcz przeciwnie: chwilowy, przemijający oczywiście nastrój Konrada u progu gorąco upragnionej samotności, jest nastrojem upojenia „własnym szczęściem, własną mocą“, teraz właśnie „zenitu“ sięgających?

Rozpatrywania te prowadzą do poznania, jak wielką rolę odgrywa pierwiastek chromatyczny w sztuce aktora, którą w odniesieniu do poezji jest przedewszystkiem sztuką żywego słowa. Poprawność i wyrazistość barw dźwiękowych — oto najważniejsze zadanie w odtworzeniu poezji dramatycznej na scenie, zadanie, które tylko znakomitemu i artystycznie opanowanemu dykcji scenicznej spełnić potrafi. Słowa same, bez równoważnika emocjonalnego właściwej ich barwy dźwiękowej, nic nam nie mówią na scenie. Nieporozumienie co do barwy dźwiękowej jest nieporozumieniem zarazem co do treści. Niestety tak pojętej kultury sztuki żywego słowa — z małymi wyjątkami — brak nam dziś jeszcze na naszych scenach.

W małym przytoczonym przykładzie kultura ta wymaga od artysty odtwarzającego Konrada, ażeby przed rozpoczęciem „Improwizacji“, po długiej i głębokiej zadumie, odetchnął głęboko, jakby mu kamień spadł z serca, a potem, wyrwijając się niejako z ziemskich przydroży do niebiańskich wrót samotności — „*s o l i t u d o c o e l i i a n a u!*“...! wznioł wzrok dziękczynnie do góry i ukazał nam twarz pełną radosnego upojenia szczęściem chwili. W tem podłożu psychicznym i mimicznym rodzi się pierwszy wyraz monologu: Samotność!... I w dźwięku jednego tego wyrazu łączą się wzajemnie przeczcucie z terażniejszością, tęsknota z spełnieniem.

Teraz następuje zmiana nastroju. Po radosnem upojeniu — kontemplacja:

Cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?
Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,
Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?
Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trudzi...

— ale... — si licet parja nomparare magnis — może ja szczęśliwszy będę od Konrada, możemy nie napróżno dziś głos mój trudził i język, ażeby przekonać wrażliwą moją i subtelną słuchaczkę, do jak wykwintych rozkoszy estetycznych prowadzą badania nad muzyką wiersza.

Marja: (*podając doł Andrzejowi*): Dziękuję stokrotnie za pochlebne mniemanie i za naukę.

MISCELLANEA.

Michał Sobeski. Filozofja sztuki i dzieje estetyki.

Zagadnienie metody. Twórczość artysty. Wydane z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym im. dr. Józefa Mianowskiego przez K. Króla. Warszawa skład główny w księgarni E. Wendego i Ski. 1917.

Gdyby nie wojna, zamykająca nam oczy i uszy na wazytko po za centralną krwawą drogą ludzkości i narodu, zapewne niejedno by się już było napisało i powiedziano o wydanej przed rokiem Filozofji sztuki Michała Sobeskiego dlatego, że ma ona niezaprzeczoną zasługę zapelnienia narezacie czerniącego się bolesną pustką miejsca w nauce polskiej. Ubodzy na wielu polach, na tem zwłaszcza: dociekań estetycznych, nie siejemy i nie zbieramy niemal wcale. Nowa książka więc ze względu na to, co daje, jest wydarzeniem znamienem. A na to jak daje?

Dostaliśmy dopiero tom I., zamknięty obietnicą drugiego, odsuniętego niestety w przyszłość niewiadomą, znowu przez wojnę, mówimy więc nie o calości, stoimy w polowie drogi, chociaż łatwo nam ogarnąć okolice, w które nas dalazy szlak poniesie. Oceniamy już z tego przymusowego etapu, jak szeroki widnokrąg pozyskali u końca. Ze wszystkich stanowisk, dostępnych wzrokowi i myśli, poprowadzi nas autor do trzech elementów świata sztuki do strony twórczej, artysty, do stworzonej, tj. do dzieła, szerzej; do całego świata twórców artystycznych, do przeżywających estetycznie stworzone dzieła.

W roli przewodnika po opartym na tych trzech elementach świecie Sobeski posiada dwie znakomite zalety. Ogromne wykształcenie filozoficzne przedewszystkiem. Jeżeli przeważnie uczeni nasi mają klucze do trzech kultur, francuskiej, angielskiej, niemieckiej, autor Filozofji sztuki chodzi wygodnie jeszcze po dwu ziemiach nieznanach, jest biegły w minioniej i czujny w nowej twórczości myślowej i literackiej Włochów i Hiszpanów, skąd często wpływają do książki cytaty i przykłady, po które dotąd nikt w Polsce nie sięgnął. Z erudycją łączy się rzadka jasność wykładu. Pod piórem jego wszystko staje się zrozumiałe i proste, nierządno powabne, choćby mozolna w zasadzie a tak raźnie odbyta podróż przez dzieje myśli estetycznej w Europie. Bowiem pierwsza część tomu to rzut historyczny: warto ten fakt zaznaczyć: pierwsza to oryginalna historia estetyki, jaką mamy po polsku, zwięzła jest, ale orjentująca doskonale a stoi na tle szerszym historii myśli filozoficznej wogóle, gdyż rozważania estetyczne daje każdorazowo jako prowinję na całkowitej mapie światopoglądów odpowiednich myślicieli. Zaznaczam bardzo piękną interpretację Platona, niezwykle przejrzyste zreferowanie kantyzmu, oraz ciekawe wejście w myśl romantyczną niemiecką z dobitnem wykazaniem, co w niej jeszcze dla naszych badań nie zamarło. Spoglądamy i na polską odnogę tej myśli, gdzie radośnie wita nas uwaga o zaniedbanej pracy zaniedbanego autora, o „Dziejach antycznej fantazji“. To dzieło Kremera jest pierwszym tego rodzaju w literaturze europejskiej. Mimo zacieniającego tytułu „Historia fantazji“ jest ono pierwszą wielkoroztutną historją kultury ludzkiej wogóle.

Część druga książki wprowadza nas w gąszcz samego zagadnienia sztuki. Podaje nam autor w rękę wszystkie metody, jakimi myśl badająca wdiera się w mroki zjawiska twórczego. Poznając, informowani jesteśmy zarazem krytycznie co do wartości lub niedoborów każdego stanowiska. Zawodzą, jak się przekonujemy, metody subiektywne, wyłączny psychologizm, „wczuwanie się“ itp. Nie znając procesów psychicznych, odrębnych od innych a odpowiadających jedynie sferze przeżyć estetycznych, musimy zrezygnować z podmiotowości i wyciągnąć

stanowięcy o specjalnem piętne tego świata pierwiastek po za nami. Ale i tu ani analiza zamknięta w granicach samego dzieła sztuki, ani szukanie niezależnych od jednostek a nawet od mas czynników odpowiedzialnych za formę sztuki (Taine), ani sięganie po przyczyny jej powstania do pierwocin ludzkich, czy z Darwinem poniżej proggu ludzkiego, aż w świat zoologiczny, nie dalo odpowiedzi na pytanie, dla jakich potrzeb życia i z jakich warstw ducha bije artystyczna twórczość człowieka! Więc i w tych metodach, obiektywnych, niepewnie nam i ciano.

Leżą teraz przed nami horyzonty nowe a wraz z nimi i najciekawsze stronnice książki, bo przewiane własną nadzieją autora. Wpatrzony zawsze w swój specjalny cel, przeciąga bardzo pomyslowo nie pomiędzy wielkiem metodologicznem zwycięstwem niemieckim, między niezachwianym dwudziałem Windelbanda i Rickerta a triumfalnem otwarciem nowych wrót, przez które podmiot poznający ma filozoficznie dążyć ku bytowi między bergsonizmem. Możemy śmiało zerwać z bezpłodnemi dla nas metodami (autor jednak przynajmniej wszystkim, niedostatecznym nawet kierunkom ich zasługi i radzi brać zewsząd, co można) możemy ufać, że nie narazimy na zarzut nienaukowości naszego stanowiska, bo dzięki Rickertowi mamy zawarowany właściwy charakter po drugiej stronie wielkiego ciecicia przez świat nauki. A od Bergsona dostajemy sankcję filozoficzności dla światów leżących za torem intelektualizmu, dla badań estetycznych poza ślepa ulica, w której uwięzionie bezradne. Fakt jest, że zagadnienie twórczości wymyka się kontroli rozumowej; o uwikłanem w niem momencie niezrozumiałym, nadprzyrodzonym, „boskim“, wiedziała i mówiła jeszcze Grecja, a jednak wieki przystępowały do hieroglify zawaze tylko od strony rozumu. Sobeski, schodząc w głąb duszy artysty, widzi w jego psychice ogólnej, a bardziej jeszcze powiemy w chwilach „złączenia“, w chwilach twórczych, stanowczą współpracę czynników wyobrażeniowych z uczuciami, i właśnie fala tych drugich niesie na sobie pewne X którego dotąd nie, nawet zwierzienia i teorie samych artystów nie były w stanie rozwinąć.

Autor rozchyła ostrożnie plątki misterjum twórczego i stara się na dnie jego przejrzyć splot aktów świadomych i podświadomych, pomysłu wizji (właśnie ona, jej rodowód, i jej wyblask jest owem X) i kompozycji (ta jest świadoma); nie wypiera się, że moment tajemniczy istnieje, nie próbuje go obejść za pomocą teoryj takich czy innych a zawaze niedostatecznych, skoro on im się dotychczas ostał wszystkim, raczej godzi się, że póki jakieś nowe światło nie werśnie się w mrok, trzeba się liczyć z faktem, że mrok jest. I nie dziwimy się, że kto rozumiał dalekosiężność myśli Bergsona, nie będzie sztucznie kaleczył doświadczeń wyraźnie wykradających się po za oświetloną obręcz intelektualizmu, aby za wszelką cenę uzyskać ulamkową tylko teorie; woli w pewnej chwili łódź swoją rzucić na szerokie morze intuicji, tak jak nie dziwimy się, że kto za Rickertem przystał na niepowtarzalność faktów jako na podwalinę całego pewnego odłamu doświadczenia naukowego, nie będzie uogólniał i twardej praw podsuwał pod twórczość, będzie owazem unikał dyktowania schematów aktom twórczym, bo tyle ich jest możliwie zróżnicowanych, ile jest odmiennych indywidualności. lekra z łona tajemnicy każdej z dusz inaszej żłobi sobie drogi aż po zupełną zewnętrżność, aż po ów przedziwny ślub z obiektywnym, zmysłowym, czestokroć grubym materialem — co stanowi właśnie o cudzie — o sztuce.

A na zaailenie momentu indywidualnego autor nasz przynosi jeszcze argument ze spornego dzia dla psychologii zagadnienia pamięci uczuciowej, której sam nie tylko jest wyznawcą, ale którą, co więcej, uważa za jeden z kamieni węgielnych właśnie w psychologii artysty. Gdyby uczucia nasze nosiły

zawaze znanie teraźniejszości cały świat wapomnień, wizji, obrazów, kłębiący się w duszy artyści, a nieraz biegunowo daleki od życia rzeczywistej chwili, byłby tylko martwą kombinacją azywnych kresek czy dźwięków, bez wewnętrznej ciepła, bez atempla osobowości. A jednak ten świat to jego swoisty „mondo poetico”, niepodobny do niczyjego innego i niepowtarzalny, oprzędzony różnobarwnymi mgłami nastrojów... które wloką się często latami lub po całym życiu niby luna dawno dla rzeczywistości zagasłych wydarzeń. I ten właśnie najbardziej podmiotowy koloryt, jest decydującą tonacją w chwilach tworzenia, gdy z niedostępnych samemu artyście wewnętrznych tajemnic bije przezeń prąd na zewnątrz, na materiał należący do obcego, innogatkowego świata. On stanowi o indywidualności twórczej, o stylu i pięknie osobistem wielkich jednostek.

Wierzmy, że tom II. z nowych dróg myśli filozoficznej niejedną nam jeszcze przyniesie zdobycz specjalną dla badań estetycznych i że autor, który tak doskonale zorientował nas we wszystkich odłamach i szkołach tej dziedziny dociekań, pozwoli nam na końcu obcować wyraźnie ze swoim osobistym poglądem, ku któremu nas już w tomie pierwszym kilkakrotnie podprowadził.

JULJA DICKSTEINÓWNA.

Zanotować warto. Niechętnie poświęcamy łamy pisma naszego tym, dla których „Zdrój” stał się tylko sensacją albo afiszem przez ogół przeoczonej cnoty. Tym razem jednak usatysfakcjonować ich musimy kilku słowy a czytelnikom naszym ujawnić istotę podziemnej roboty, aby coś nie coś wydobyć na światło dzienne wbrew zabiegom utrzymania intrygi w tajemnicy.

Wielki uderzyć ma grom w pismo nasze, grom obrażonej a wiele reklamowanej cnoty.

Inkwizycje wszczęto z inicjatywy kilku jednostek, które w posadach swych wstrząśnięte się poczuły (a zwykle siebie z istotą wiary jednoliczyc), iż moralny ich autorytet niema już tego posłuchu co doniedawna.

Białogłowy są to tym razem.

Cienne postacie, poparzywszy sobie raz palce w niecnej swej robocie, niewiastami oto zasłaniają się i na czoło walki wysuwają łatwowierne te istoty dla poprobowania raz jeszcze szczęścia.

Nieukontentowaniem z władzy kościelnej powodowane, postanowiły nacisk wyrzucić, iżby władza ta „Zdrój” potępiała publicznie a wiernym czytać go wzbronila.

Po nieudanych próbach denuncjatorskich pod adresem władz cywilnych, po rozsiwianiu niestworzonych historyjek i plotek, mających zniesławić w oczach społeczeństwa pracowników „Zdroju”, po wielu podobnych zachycających a wysoce chrześcijańskich, z najwyższą moralnością zgodnych poczynaniach, chywycono się ostatnio nowej broni, której znanie religijne nadać ma znaczenia i nieuszczipionej powagi.

Zmobilizowały tedy owe panie zastęp niewieści i rzuciły anatomo na „Zdrój”, odczytawszy uprzednio w jednym z swoich zrzeczeń odnośnie twory, wśród których przednie miejące zajmowała „Opowieść rybalta” Wacława Berenta.

Spisano protest wraz z uroczystem zobowiązaniem obecnych, poniechania czytania zdrożnej literatury a oglądania rycin sprodných, przyczem podpisy wielorako wymuszano. Dokument ów postanowiono pierwotnie opublikować w naszej prasie codziennej, ale apostrożono wczas, iż krok taki nie byłby zręczny i celowy, a mógłby wyrzucić wręcz przeciwny skutek.

Pojawił się pomysł szczęśliwazy, iżby protest ów posłać — nie, jakby przypuszczano należało, redakcji „Zdroju”, ale — najwyższej władzy diecezjalnej, jakby władza ta nie dość gorliwie obowiązki spełniała duzpasterskie.

Indeks całą jest nadzieją pań owych.

Podwójne wszelako pchnięcie zdaje się być skuteczniejsze, to też tążsama działalność powtórzona w zgola innym zrzeczeniu kobiet przez te same osoby, czynić ma wrażenie powazecznego gniewu matron i dziewic wielkopolskich.

Zapał bojowy nie na tem jednak się wyczerpuje, bo i kategarnie bywają ustawicznie nagabywane, aby rozpoczęły bojkot „Zdroju”.

Decydująca walka nie ma ograniczyć się przecież do dzielnic naszej. Gorliwe więc bojowniczi, patrzące na społeczeństwo tamtych dzielnic przez te same okulary, przez jakie czytują „Zdrój”, wysyłają oto dwie delegatki w strony zakordonne celem urobienia opinii przeciw pismu naszemu za pomocą tamtejszej pracy i tamtejszych organizacji.

Oto przygotowania do decydującego ciosu, który spaść ma niebawem na głowy nasze. Czy robota ta, strojąca się w piórka moralności a wykwitająca z bezmyśli i często osobistej animozji, odnieść może upragniony skutek — wątpimy. Nadzieją ludzi się mogą tylko ślepi, nie widzący ani czujący przeobrażeń chwili.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

Panu L. L. w I. Josef Capek (którego znakomity drzeworyt oryginalny dać mogliśmy w przeszłym zeszytzie „Zdroju” dzięki uprzejmości tego artysty) — należy do najindywidualniejszych twórców czeskich doby współczesnej. Utwory jego plastyczne i nie mniej literackie zwracają uwagę kulturalnego świata nie tylko w Czechach ale i zagranicą.

Latotnie piękny drzeworyt w „Zdroju” odznaczający się przedziwną prostotą, melancholją i siłą wyrazu łatwo wytrzyma próby krytyki choćby najbardziej ironicznej.

Panu J. Ch. w P. Nie trzymajmy się niewolniczo nazwy ekspresjonizm. Wszak używać jej należy wyłącznie dla konieczności porozumienia się; rzeczy samej nazwa nie przesądza. Twierdzenie zaś, że „wprowadzenie ekspresjonizmu do sztuki polskiej jest niczem innym jak zatrucianiem duszy polskiej pierwiastkiem obcym, często semickim” (!!) — trąci tak rozbrajającą naiwnością, że niepodobno na nie odpowiedzieć. Przecież pomawiano ekspresjonizm (podczas trwania wystawy „Buntu” w Poznaniu) iż jest on wymysłem „Zdroju”, wręczcie wybrzykiem znieprawionej młodzieży artystycznej w Berlinie. Jakże tu więc odpowiadać na podobne brednie? — Niebawem damy w „Zdroju” szereg rycin i oryginalnych drzeworytów ekspresjonistów francuskich i czeskich, potem niemieckich i angielskich. Kto rzeczywiście zapragnie w dzisiejszej sztuce zorientować się, ten zdoła ujrzyć dzisiejszą sztukę polską na tle sztuki światowej. Cenne to porównanie pozwoli więc wybrnąć niejednemu z chaosu wywołanego „opiniami” naszych t. zw. krytyków, których wypracowania tak znamienne kompromitowały część naszej prasy codziennej.

Z powodu przerwania komunikacji pocztowej z Warszawą nie otrzymaliśmy korekt przed zamknięciem redakcji niniejszego zeszytu; dlatego zniewoleni jesteśmy dać dalszy ciąg „Opowieści rybalta” Wacława Berenta oraz „U poetów” Miriama dopiero w zeszytzie następnym.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Jerzy Hulewicz, Kościanki. — Przedstawiciel redakcji na Austro-Węgry: Jakób Gesswind, Wiedeń. — Nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja” w Poznaniu.

Wszelkie prawa autorskie, przekładu oraz reprodukcji zastrzeżone. Copyright by „Ostoja” Poznań — Posen. Odbito w tłoczni „Pracy” w Poznaniu.

Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: **Jerzego Hulewicza, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szmaja, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyskiego**

☛ nabyć można za pośrednictwem naszym ☛

REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wilhelmowski 17

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza w Poznaniu

poleca jako nowość

Adolfa Nowaczyńskiego

Szkice literackie

Cena mk. 9.—

Nabyć można we wszystkich księgarniach.

„POLSKA”

PISMO TYGODNIOWE Z OBRAZKAMI, POLITYCZNE, SPOŁECZNE, OŚWIATOWE,
GOSPODARCZE, SPRAWOM LUDU POLSKIEGO POŚWIĘCONE.

Prenumerować można wprost z redakcji:

Warszawa, ul. Hortensyj, Nr. 7, m. 21.

oraz na wszystkich pocztach w okupacji niemieckiej.

(Skryjka pocztowa No. 64).

PRZEDPŁATA wynosi rocznie 10 mk. półrocznie 5 mk., kwartalnie 2 mk. 75 fen. miesięcznie 1 mk. w okupacji niemieckiej, a 15 koron rocznie, 7 kor. 50 hal. półrocznie, 4 kor. kwartalnie i kor. 50 hal. miesięcznie w okupacji austriackiej.

MASKI

Czasopismo ilustrowane, poświęcone literaturze, sztuce i satyrze :: :: ::

Wychodzi 1. 10. i 20. w miesiącu — — Adres Redakcji i administracji: **KRAKÓW, Wojska 1 19**
Prenumerata z przesyłką: kwartalnie 20 kor. — półrocznie 32 kor. — rocznie 7 kor.

Druk nowoj powieści K. Tejmajera p. t. „Walka”, cykl „Listów ze wsi Wł. Orkana. Z dniami 1. lipca druk cyklu nowel tatrzańskich K. Tejmajera, które obejmą nowy VIII. tom „Skalece Podhale.”

Na Poznań i W. Ka. Poznańskie główne zastępowo sprzedaży „Maski” objęta Księgarnia A. Cybińskiego w Poznaniu.

S. KALAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

| Dla Pan | | Dla dzieci | | Dla panów | |
|---------|-------------|------------|-------------|------------|----------|
| Bluzki | Pończochy | Sukienki | Torabl | Skarpety | Szelki |
| Gorsety | Rękawiczki | Trykoty | Koźnierzyki | Rękawiczki | Trykoty |
| Hałki | Koźnierzyki | Fartuszki | Kapelusze | Krawaty | Parasole |



TOWARY KRÓTKIE - KORONKI - WSTAŻKI.



POLONIA Księgarnia Nakładowa i Komisowa

Lausanne, Maison Kursaal, Szwajcaria

przyjmuje wydawnictwa we wszystkich językach na rachunek komisowy oraz dostarcza wszelkich wydawnictw i czasopism zagranicznych w językach polskim i obcych.

Zamówienia wykonywa się starannie i szybko.

DRUKARNIA „PRACY“

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

PIEKARY 21

W POZNANIU

PIEKARY 21

POLECA SIĘ DO WYKONYWANIA

WSZELKICH PRAC DRUKARSKICH

GUSTOWNIE, SZYBKO I TANIO

TELEFON 3097

TELEFON 3097